Nr. 10. Kraków, dnia 6 marca 1910. ROK I.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Z chwilą, gdy Czytelnicy *„Tygodnika Narodowego“* numer ten otrzymają do ręki, upłynie także i termin nadsyłania prac konkursowych na temat

„Niebezpieczeństwo niemieckie w Galicyi i środki zaradcze“.

Do końca lutego stanęło do konkursu naszego już wielu autorów; plon więc zapowiada się obfity. Stąd korzyść wielka nietylko dla sprawy samej, stanowiącej obecnie kwestję, palącą, ale i dla Czytelników *„Tygodnika Narodowego“*, którzy z artykułami tymi, przez sąd konkursowy nagrodzonymi, a więc najlepszymi, zapoznają się z pierwszej ręki. Mamy też nadzieję, że Czytelnicy nasi, w uznaniu ważności sprawy, starać się będą zyskać dla *„Tygodnika“* jak największą liczbę abonentów.

Kościół i cerkiew.

Kwestya kościelna w zaborze austryackim jest zagadnieniem pierwszorzędnego znaczenia. Kościół na ziemiach polskich, w zaborze pruskim i rosyjskim, zarówno jak na ziemiach czerwonoruskich jest bardzo ważnym czynnikiem samowiedzy narodowej. Gdzieindziej stanowi walną zaporę przeciw rusyfikacyi czy przeciw germanizacyi; we wschodniej części Galicyi jest walną obroną przed zruszczeniem ludu polskiego, a był bodaj jedyną, póki społeczeństwo nie podjęło na innych polach usiłowań obudzenia i utrwalenia świadomości narodowej: włościanin polski, rzucony między obcych, pozbawiony żywego z kulturą polską kontaktu, w kościele jedynie znajdował myśl i słowo polskie. Kościół czy kaplica były niekiedy jedyną polskości ostoją.

Niestety przez długi czas, jak nie doceniano znaczenia kwestyi ruskiej, tak nie doceniano znaczenia Kościoła dla rozwoju sprawy polskiej w wschodniej części Galicyi. Dopiero ze zwrotem w kwestyi ruskiej nastąpił zwrot w ocenianiu kwestyi kościelnej. Społeczeństwo same podjęło silną akcyę w kierunku budowania kościołów i kaplic na Wschodzie, choć nie podjęło jej z taką energią, jakiej wymaga nieodzowna konieczność i utrwalenie sił naszych w kraju.

Braki w tej mierze odczuwamy żywo: w obronnej walce z agresywną natarczywością Rusinów coraz częściej przekonywamy się o naszem upośledzeniu na polu kościelnem, do czego samiśmy bodaj się przyczynili. Upośledzenie nasze uwidacznia się przedewszystkiem w porównaniu z stanowiskiem naszych przeciwników, które wzrosło przy poparciu naszem moralnem i materyalnem.

Rozejrzawszy się w cyfrach, dochodzimy do przekonania, że cerkiew jest od kościoła znacznie bogatsza. W r. 1900 uposażenie parafii ruskiej przedstawiało wartość 18,420,683 koron, gdy polskich tylko 10,573,794 kor. Cyfry te odnoszą się do całej Galicyi, gdy weźmiemy pod uwagę terytoryum obu narodowościom wspólne, przewaga po stronie ruskiej przedstawia się, jak 4:1.

Z ziemi kler ruski ma dochodu 735 143 kor., gdy dochód duchowieństwa polskiego całej Galicyi wynosi 419.730 kor.; z funduszu religijnego Rusini pobierają 1,622,675 kor., Polacy zaś w całym kraju 438,112 koron.

W całej Galicyi parafii w r. 1900 było ruskich 1906, polskich 904; aby zaś stosunek wypadł wyraźniej, należy podkreślić, że w łacińskich dyecezyach wschodnich parafii było ledwo 502. Niema żadnej proporcyi między stosunkiem ilości parafii do dusz danego wyznania. Na terytoryum dyecezyi lwowskiej było parafii 222, jedna zatem przypada na 3,726 dusz rzymsko-katolickich, gdy ruskich parafii było 1.184, a na jedną przypada 1601 dusz.

Upośledzenie Polaków na polu kościelnem przedstawia się jaśniej na kilku przykładach:

Powiat	proc. lud. rz. kat.	parafii pol.	parafii rus.
Lwów miasto	51.7	30	58
Lwów powiat	39.4		
Brzozów	77.9	22	9
Jarosław	48.4	17	34
Sanok	38.0	17	46
Cieszanów	32.9	9	26
Przemyśl	34.3	13	45
Stanisławów	21.0	4	43
Złoczów	21,7	6	45
Kamionka Strumiłowa	23.1	8	48

Rzecz zastanowienia godna: Rusini najlepiej, najobficiej w parafie wyposażyli powiaty zachodnie, gdzie ludność ruska w zetknięciu się z przeważającą ludnością polską ulegać może jej asymilacyi; świadomi są zatem siły odpornej, jaka tkwi w cerkwi. W Nowosądeckiem mają 14, w Nowotarszczyźnie 2, w Gozlickiem 19, w Grybowskiem 9, w Jasielskiem 7, w Krośnieńskiem 13 parafii ruskich, więc i na każdą wieś ruską przypada parafia.

Polacy tego nie uwzględniają: Turka 1, Kosów 2, Peczeniżyn 2, Nadwórna 3, Bohorodczany 3, Czortków 4, Zbaraż 5, Kałusz 2, Kołomyja 3 parafie, — taki sam stosunek i w innych powiatach. Wręcz przeciwnie jak u Rusinów, gdzie najbardziej zagrożone tereny są ubezpieczone jak najlepiej.

Stosunek Domów Bożych jest jeszcze boleśniejszy. Np. na terenie rzym.-kat. dyecezyi lwowskiej było 312 kościołów a 1983 cerkwi, jeden kościół przypadał na 2663 dusz, cerkiew na 956.

Podobne stosunki widać wśród samego duchowieństwa. Ogółem w r. 1907 księży ruskich było 2566, a polskich tylko 1610. Na terytoryum dyecezyi przemyskiej na 1.137.918 dusz łacińskich pracowało 457 osób, na 1.144.190 dusz ruskich 804 księży ruskich; na terytoryum dyecezyi lwowskiej na 840030 dusz polskich pracowało księży 474, na 2.304.908 dusz ruskich księży 1379!

Społeczeństwo polskie na te stosunki może mieć wpływ bardzo silny. Prawo prezenty w 3/4 wszystkich parafii spoczywa w ręku właścicieli ziemskich Polaków. W dyecezyach łacińskich na 502 parafii przysługuje prawo prezenty 370 parafii osobom prywatnym, w dyecezyach ruskich na 1851 parafii przysługuje prawo osobom prywatnym patronat 1431 parafii.

Z powyższych cyfr widać niezbicie, że znaczenie i wpływ duchowieństwa ruskiego w społeczeństwie ruskiem są silniejsze niż duchowieństwa naszego wśród społeczeństwa polskiego; cerkiew ruska przygniata swym wpływem kościół polski na wschodzie, co mimo konkordyi przejawia się utratą sił naszych na rzecz Rusinów; w wydawnictwie ks. Cz. W. stwierdzono, że wskutek konkordyi straciliśmy 30.000 dusz polskich.

Skonstatowanie tych przykrych momentów zniewoliło społeczeństwo do szukania środków zaradczych. W ostatnich latach powstało na wschodzie więcej kaplic, więcej ekspozytur, chociaż to wszystko nie wystarcza jeszcze na zaspokojenie wszelkich potrzeb religijnych. Ale równolegle ze wzrostem liczby kaplic i ekspozytur coraz bardziej daje się uczuwać brak duchowieństwa.

To nakłada na ogół społeczeństwa obowiązek bardziej wytężonej pracy społecznej i współdziałania z duchowieństwem, które do ludu ma dostęp najłatwiejszy i najsilniej może nań oddziałać.

***

Co tydzień niesie.

Kraków, 26 lutego.

Żyjemy pod znakiem Szopena. Setna rocznica urodzin znakomitego muzyka odbija się szerokiem echem w całym kraju. W miastach prowincyonalnych odbywały się uroczystości jubileuszowe, we Lwowie zawiązano osobny komitet, który oznaczył główny obchód na października. Najlepiej spisał się Kraków, który nawet nad największego mistrza tonów przeniósł... indyka ministeryalnego. Wiadomo bowiem, że prezydyum miasta wpłynęło na dyrekcyę koncertów, która miała ku czci Szopena urządzić koncert Rubinsteina, aby koncert odłożyć, albowiem koncert ów, urządzony w sali przytykającej do tej, gdzie miał się odbyć bankiet na cześć ministra, mógłby przeszkadzać biesiadnikom.

W życiu politycznem monarchii zaszedł fakt, który może odbić się na wzajemnych stosunkach narodowościowych kraju. Ustąpił mianowicie z fotelu ministeryalnego dr. Schreiner, minister rodak niemiecki. Znany polakożerca, Schreiner podjudzał często Niemców galicyjskich przeciwko nam i podsycał ich nieustannie do walki. Skutki wnet się ujawniły, albowiem „Bund der christlichen Deutschen in Galizien“ coraz agresywniej począł, przeciw nam występować.

A łączył się do tego z wrogami naszymi, z żydami i Rusinami wskutek czego wprowadzał większe jeszcze zamieszanie.

Do czego dochodzi buńczuczność niemiecka w kraju, dowodzi wystąpienie stanisławowskiego

pastora Zöcklera w Bochum, w Westfalii, dokąd się Zöckler udał na zdobycie funduszów dla swoich zakładów germanizatorskich. Na wycieczkę do Niemiec Zöckler otrzymał urlop od władz swoich, co dowodzi, że nietylko przewódcy, ale i ogół świadomie poddaje się wpływom płynącym z zagranicy.

Tem więc bardziej na czasie jest ankieta „Tygodnika Narodowego“ o niebezpieczeństwie niemieckiem w Galicyi i o środkach zaradczych. Obudziła zrozumiałe zainteresowanie w prasie, co świadczy dodatnio o żywotności i zapobiegliwości wydawnictwa. Wszystkie niemal pisma w kraju (i za kordonem) powtórzyły Waszą odezwę, spodziewając się, że i plon konkursu będzie również zbożny i przyczyni się do wyjaśnienia tej zupełnie niewyjaśnionej u nas kwestyi.

Skoro mowa o „Tygodniku“, niechaj wolno będzie waszemu korespondentowi podkreślić na tem miejscu, że „Tygodnik“ zdobywa sobie należne uznanie dzięki doborowi artykułów, obfitości materyału, samodzielności poglądów i niezależności partyjnej. Spodziewać się należy, że sympatya, jaką Czytelnicy żywią do „Tygodnika“ wzrastać będzie nieustannie i postępować z czasem.

Jadwiga i Krzyżacy.

(Z opowieści dziejowej pt.: „Święta Królowa“ przez ks. Biskupa Władysława Bandurskiego.)

„Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli,
„Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
„Krwawym płomieni ruczajem obleje,
„Oto są wojen zapaśniczych dzieje;
„Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
„I blask, co głupie rozwesela zgraje,
„A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
„Głos wołajęcy o pomstę do Boga.

(Mickiewicz.)

— Czyż nigdy nie uciszą się złe wieści od stron krzyżackich płynące? — pytała królowa Jadwiga, gdy znowu jej doniesiono, iż napady ich i najazdy nie ustają, iż bezustannie dopominają się o jakieś upłaty, iż ciągle chcą krwi rozlewu i poddaństwa Litwy.

— Czyż nigdy nie ustaną wichrzyć i gnębić ci ludzie nikczemni, którzy przyjęli na siebie święte imię „Krzyżaków“, a są zbrodniarzami i wiekuistymi krzywdzicielami?

Lecz odpowiedzi Jaśka z Tarnowa, Jaśka z Tęczyna i Dymitra z Goraja wcale nie dają uspokojenia królowej.

— Król Władysław już rwie się do wojny i nic — zdaje się — nie wstrzyma go od powziętego zamiaru.

— Boże!... Ulituj się nademną, niegodną i dopomóż, bym tę wojnę wstrzymać mogła na pewien czas!

— Niepodobna! niepobobna! — odrzecze Jaśko z Tarnowa. Zanadto wiele razy oni skłamali i obietnicy danej nie dotrzymali, zanadto wiele żądają od Polski, ażeby Miłościwy król nasz mógł dłużej ścierpieć owe zniewagi...

— Więc jakież są ostatnie wieści?

— Konrad von Jungingen, Wielki Mistrz Krzyżacki, nie chce zwrócić ziemi dobrzyńskiej. Idzie mu o to, ażeby przetrzymać ją jak najdłużej, a potem prawem przedawnienia już nie oddawać i uważać jako własność Krzyżaków. Więc Król Władysław rozgorzał gniewem, wojny chce i do wojny wzywa. Trzeba raz koniec położyć tym krzywdom i bezecnym intrygom!

— Miłościwy Jezu!... — szepce Jadwiga, składając ręce. — Ulitnj się! Dopomóż, bym naród cały wycieńczony i osłabiony, wstrzymała od przedwczesnej i wątpliwej w zwycięstwo wojny!...

Udała się potem do komnat Jagiełły, który przez ten czas był w Krakowie, i dalejże prosić, błagać go i zaklinać, ażeby do wojny ostatniego jeszcze nie dawał hasła, ażeby jeszcze wstrzymać się nieco, może się da Krzyżaków nakłonić do pokoju — a potem przygotować się lepiej na śmierć i życie...

— Ja z nimi o pokój układać się nie będę! — woła Jagiełło z rysą chmurną na czole. — Ja nie układam się z ludźmi, którzy dziesięć razy depczą przyrzeczony pokój i ugodę dziesięć razy podpisaną znieważą... Mnie już dość tych Krzyżaków i tej ich chrześciańskiej opieki! Już raz chcę z nimi stanąć do walki w szerszym polu i złamać ich moc i potęgę tak, ażeby się nigdy nie podźwigła ta żmija!

— Stanie się tak, Miłościwy królu, — rzecze Jadwiga z natchnieniem. — Obaczysz, iż, jakoś był pogromcą bałwochwalstwa na Litwie, tak będziesz pogromcą buty krzyżackiej i złamania ich, a imię twe po wieki będzie z czcią i wdzięcznością wspominane, jako imię tego, który Krzyżaków obalił.

Jagiełło spojrzał zdumiony.

Zdało mu się, wyraźnie mu się zdało, iż nad czołem Jadwigi widzi jakąś jasność, jakby dziwne

oświetlenie, jakby zorzę wschodzącą, a w słowach jej brzmiała jakaś taka siła i moc nieugięta, jakaś taka pewność, iż, co mówi stanie się; Jagiełło wzruszony i ukorzony schylił się nisko, poczem mówił drżącym głosem:

— Skoro przepowiadasz mi pogrom Krzyżaków, skoro wiesz, iż zdeptani będą i Litwy nie zamęczą — wstrzymam jeszcze raz wojnę wedle Waszej, Miłościwa Pani woli i będę czekał, a Bóg niech ci dopomoże, byś uprosiła u niego dla Litwy i Polski szczęśliwych i spokojniejszych czasów!

. . . .

Gdy więc w roku 1397 już wojna z Krzyżakami zdawała się nieuniknioną, Jadwiga uprosiła męża, ażeby jej pozwolił umówić się co do zawarcia pokoju.

Wyjechała w otoczeniu Panów rady i dworzan do Inowrocławia. Przybył tam groźny, ponury, z podełba patrzący wielki mistrz krzyżacki Jungingen w otoczeniu komturów.

I oto stanęły naprzeciw siebie dwa światy. Z jednej strony groźni, z mieczami strasznymi w rękach, w zbroi ciężkiej i lśniącej komturowie z wielkim mistrzem Jungingen — z drugiej strony w skromnych i ciemnych szatach, wątła i szczupła, jako lilia biała, przecudnej urody Jadwiga, kobieta bezbronna, ze słowem pokoju i miłości na ustach.

Z jednej strony stanęli oni — chciwi mordów i zaborów, rubieży, klejnotów i ziem... z drugiej strony ona, która szła po ziemi z wyciągniętemi dłońmi, by łzy ocierać ludziom. Ona, która bogactwa i klejnoty zbierała na hafty szat kościelnych, Ona, która chciała wszystkich serca ku niebu podnosić i dusze wszystkich rozświecać jasnością.

Rozpoczęły się obrady.

— Pokoju i zgody pragniemy, rzecze Jadwiga... Chrystusowi słudzy jesteście, nie chcemy rozlewu krwi, nie chcemy trupami polepłymi w walce utrwalać naszych tronów podstawy, oto przedstawiamy warunki nasze, prosimy o podpisanie. Niech raz się skończą niepokoje, niech raz ucichną nawoływania do krwi rozlewu!

Lecz mistrz Jungingen marszczy czoło, dłoń trzyma na ciężkim, ostrym mieczu i rzecze:

— My naszych praw nie umniejszymy i naszych żądań nie zmienimy.

— O ziemię dobrzyńską rozchodzi się teraz, a ziemia ta własnością jest Polski i tylko chwilowo w ręce wasze była oddana.

— Ziemię dobrzyńską oddano zastawem za pożyczoną sumę, książę opolski Władysław ma dokument w ręku on go zwrócić powinien.

Poznała dobrze Jadwiga, iż to wszystko jest tylko wykrętem i pozorem... Szczęśliwa mistrzyni pojednania Witołda i Skirgiełły, poskromicielka najkrnąbrniejszych umysłów, napróżno przemawiała do Krzyżactwa w Inowrocławiu.

Widząc więc iż chciwość tych ludzi i łakomstwo na cudze dobro u nich silniejsze jest nad poczucie sprawiedliwości, zawołała gromkim, stanowczym głosem, jakimś niebieskim duchem natchniona:

— Dopóki ja żyję, zdołam wstrzymać tę straszną wojnę, która Wam grozi tak za obecne, jako i dawne krzywdy, Królestwu Polskiemu wyrządzane; ale po mej śmierci wiedzcie, że ze sprawiedliwych wyroków Bożych straszne czekają was klęski za to, że panom swoim, dobrodziejom i twórcom swojego bytu, których chlebem, jałmużną, nadaniami żyjecie, tak przeciwnymi staliście się wrogami i za otrzymane dobrodziejstwa, za udzielone wam ziemie i posiadłości krzywdami odpłacacie, że nie dość mając na zagarnieniu ziemi Pomorskiej, która od pierwszych początków Królestwa do Polski należała, chciwe i niesyte łupieży wyciągnęliście ręce po ziemię Dobrzyńską, acz i ta, podobnie jak ziemia Wieluńska i Ostrzeszowska, wrócić powinna i spoić się z całością Królestwa Polskiego, czemu wy tylko chytrze i niesprawiedliwie stawacie na przeszkodzie. Obaczycie — mówiła Jadwiga — iż nadejdzie dzień, w którym wasze ciężkie i krzywdami plamiono miecze będą leżały u nóg króla Jagiełły... Obaczycie, iż za krzywdy, któremi dziś karmicie wasze serca, będziecie leżeli zdeptani i wasze chorągwie legną na pierściach waszego mistrza, obalonego we władzy.

Panowie polscy struchleli słysząc te ostre i groźne słowa... komturowie krzyżaccy strworzeni cofali się powoli od widoku Królowej, świętej Prorokini, oddalając się co krok, tak im się wydała groźna, potężna, tak wielką prawdę czuli i widzieli w jej chmurnem na nich wejrzeniu...

Jadwiga zawsze cicha i łagodna, wobec tylu ludzi zdawała się gromem i piorunem gniewu.

— Wy?... — mówiła coraz silniej. — Wy!... którzyście zabijali Litwę przez wiek cały! Wy, którzy chcecie teraz zabić i zdeptać Polskę, wy! — obliczcie swe zbrodnie i wiedzcie, iż z nami Bóg, bo Polska nie zabiera, lecz broni, Polska nie wydziera lecz ratuje.



Spacer nad Bosforem.

Krzyżacy wyszli z pochylonemi głowami. Przepowiednia Jadwigi zawisła nad nimi i gniotła niepokojem i trwogą.

Jadwiga z Inowrocławia wracała do Krakowa zbolała i smutna. Czuła i wiedziała, że wojna się zbliża.

W Krakowie doniesiono też jej o śmierci siostry Maryi, żony Zygmunta.

. . . .

W trzynaście lat później... rozprawił się Jagiełło z Krzyżakami... Pod Grunwaldem, jak pisze Sienkiewicz, bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego. Padł pod stopami Wielkiego Króla nietylko zakon krzyżacki, ale i Niemcy, które najświetniejszem rycerstwem wspomagały ową „przednią straż", wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset „białych płaszczów" przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało zaledwie piętnastu. Czterdzieści tysięcy przeszło ciał leżało w wiekuistym śnie na owem krwawem boisku.

Tak spełniła się przepowiednia Królowej Jadwigi.

. . . .

W pięćset letnią rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem — w roku 1910 — o Jadwidze, sprawczyni i Prorokini owego tryumfu, narodowi polskiemu, ruskiemu i litewskiemu zapominać nie wolno!

Polska, Ruś i Litwa zawołać powinny:

— Zbudź się, Jadwigo, i nowym cudem ratuj nasze ziemie!

. . . .

I zbudzi się święta Królowa w koronie chwały.

A głos rzewny i potężny zarazem doleci ze stron ojczystych, z piersi milionów — aż do Rzymu — do bram Białego starca i odbije się silnem echem po całym katolickim świecie, sławiąc i roznosząc dzieje życia, cuda i proroctwa świętej Królowej Jadwigi!

Drobiazgi naukowe.

Nowy wróg literatury.

Do niedawna cenzura rosyjska była największym nieprzyjacielem literatury polskiej, a czerwony atrament zniszczył niejedną myśl, godną utrwalenia i przekazania potomnym.
Dzisiaj niebezpieczeństwo z tej strony jest już mniej groźne. Zjawił się natomiast nieprzyjaciel inny.

Nieprzyjacielem tym, który działa nie tylko u nas, ale na całym świecie, i rozsnuwa perspektywę zupełnej lub częściowej zagłady przed współczesną produkcyą umysłową i artystyczną, jest chemia, owa „nauka nauk“, której zdumiewający postęp w ostatnich czasach pchnął wiele gałęzi przemysłu na tory nowe. Chemia, między innemi, wkroczyła także zwycięsko do papiernictwa, wprowadzając do niego zamiast lub obok szmat masę drzewną, w postaci specyalnego preparatu, zwanego *cellulozą* i zastępując dawne „klejenie zwierzęce“ klejeniem „roślinnem.“ Dzięki tym nowym wynalazkom papier staniał, co ma niewątpliwie duże znaczenie kulturalne, książka bowiem i gazeta stają się coraz bardziej dostępne dla szerokich mas czytelniczych, wzrastających, nawet u nas, z dniem każdym. Ale jednocześnie z zastosowaniem tych nowych zdobyczy nauki w papiernictwie zrodziły się bardzo poważne obawy co do przyszłości książki.

Gazeta, która z istoty swojej jest efemerydą, mniejszą może zwracać uwagę na trwałość papieru, pokolenia i utrzymywać ciągłość rozwojową myśli ludzkiej, jeżeli nie ma zapewnionej trwałości, traci odrazu połowę racyi swego istnienia.

Cegiełki asyryjskie i babilońskie, papyrusy egipskie, wreszcie pergaminy starożytności i średniowiecza przetrwały do naszych czasów, i dzięki im nauka mogła zdjąć pieczęcie z wielu dziedzin życia epoki zamierzchłych i ukazać je nam w świetle przybliżonej prawdy.

Co jednak stanie się za lat 200 lub 300 z naszą puścizną umysłową, z naszym olbrzymim dorobkiem naukowym i literackim, z tem, co świat współczesny zdobył i zdobywa nieustannie w swym nieugiętym, wytrwałym pochodzie naprzód?

— Nie potrzeba sięgać myślą aż tak daleko — odpowiadają na to doświadczeni bibliotekarze, a w części i sami papiernicy. Przeciętna książka współczesna nie będzie trwała dłużej nad lat pięćdziesiąt. Wnukowie nasi będą już w prawdziwym kłopocie, jeżeli przyjdzie im ochota przedrukowania dziej którego z wybitnych pisarzy współczesnych. Z dziesiątków tysięcy rozrzuconych po świecie egzemplarzy ich pism ocaleje zaledwie kilka, i to dzięki wyjątkowo szczęśliwym okolicznościom i warunkom. Reszta, ulegając powolnemu spaleniu się, rozleci i rozpadnie się w proch...

— Jakaż więc na to rada?

— Powrót do papieru szmacianego, zakładanie czerpalni i dążenie do narzucania autorom i wydawcom obowiązku drukowania każdej książki wartościowej, choćby w kilkunastu egzemplarzach, przeznaczonych dla bibliotek i bibliofilów, na papierze czerpanym. Tylko w ten sposób widmo zagłady, grożącej całemu piśmiennictwu, może być zażegnane, a przynajmniej odsunięte w dalszą przyszłość.

Sprawa to i dla naszej kultury wagi pierwszorzędnej, tem bardziej, że jako społeczeństwo, wchodzimy dopiero w okres rzeczywistej demokratyzacyi i że popyt na tanią książkę wywoływać będzie coraz większą jej podaż, co znów pociągnie za sobą ciągłe obniżanie gatunków papieru, i tak już lichego, przeznaczonego na to, aby za lat kilkadziesiąt śladu po nim nie zostało.

Jej widmo.

(Z opowiadań żołnierza z roku 1863.)

Było to w połowie lipca. Od kilku dni padały ulewne deszcze, które w końcu zamieniły się na nieznośną słotę. Wszystkie drogi wskutek tego przemieniły się w jedno wielkie topielisko i marsze, jakie musieliśmy odbywać, dobrze nam się dały we znaki. Ścigani przez przeważnego nieprzyjaciela, stanęliśmy wieczorem w dużym lesie, gdzie na polanie, dokoła otoczonej gęsto podszytym borem, rozłożyliśmy się obozem.

Oddział nasz składał się z batalionu piechoty, podzielonego na cztery kompanie po 120 ludzi w każdej, i dwóch plutonów jazdy, liczących 80 koni; ogółem było nas 560 ludzi frontowych, a ze służbą obozową przeszło 600.

Owego dnia, w którym przytrafił się wypadek, jaki zamierzam opisać, byłem z kolei oficerem służbowym. Obowiązkiem moim było rozstawić konne widety i czuwać całą noc nad ich luzowaniem, i wogóle bezpieczeństwem obozu. Przed rozprowadzeniem pikiet, rotmistrz wezmał mnie do siebie i zalecił wielką czujność i baczność, gdyż według doniesień, nieprzyjaciel stanął noclegiem w odległości zaledwie mili polskiej od nas.



Potyczka.

— Bardzo być zatem może, mości poruczniku — kończył rotmistrz, napychając krótką fajeczkę tytuniem — że przyjdzie mu ochota zaatakować nas w nocy. Pilnujże się, bo na twojej głowie bezpieczeństwo oddziału.

Wcale mi nie w smak poszło to zalecenie. Byłem całodziennym marszem niesłychanie znużony, a przytem smutny, bardzo smutny. Na parę godzin przedtem, odebrałem maleńką karteczkę od mojej... ale co to o tem mówić! Serce mi się rwało w piersiach, byłem zaledwie od starego dworku oddalony o dwie mile. Gdyby siąść na konia i ruszyć dobrym kłusem, byłbym tam za dwie godziny najdalej, mógłbym spojrzeć w jej szafirowe oczy, które, niestety, nie miały już długo na ten świat patrzeć...

Noc była szkaradna i ciemna, jak piekło. Deszcz, nieznośny kapuśniaczek, padał z nużącą jednostajnością, a w lesie wieszając się na igłach sosen, spadał potem wielkiemi kroplami. Na niebie, z po za chmur czarnych nie było widać ani jednej gwiazdki, najmniejszego światełka. Wiatr po lesie szumiał szkaradnie i melancholicznie. Gdyby jeszcze wejść pod namiot, owinąć się burką i zasnąć, to taką noc możnaby mile przepędzić. Ale czuwać i ciągle myśleć o możebnym napadzie nieprzyjaciela, przyznacie — nie należało do przyjemności.

Rozstawiłem sam widety. Na drodze, prowadzącej w kierunku, z którego spodziewać się można było ataku, postawiłem dwóch znanych mi dobrze z odwagi i przytomności żołnierzy, i zaleciłem im wielką baczność. Na kilka kroków przed nimi, wznosiła się biała, murowana figura, tuż przy zakręcie drogi, tak, że ktokolwiekby szedł drogą, musiał się zarysować cieniem na białem tle tej figury. Na okoliczność tę zwróciłem uwagę żołnierzy, mówiąc im, że jakkolwiek stoją na najniebezpieczniejszej widecie, przecież mają tę dogodność, że nieprzyjaciela łatwiej mogą

spostrzedz, niż inni, z powodu straszliwej ciemności.

Z oficerem służbowym od piechoty, kapitanem Tylmanem, porozumiałem się i prosiłem go, by łańcuch pieszych czat ustawił ile możności najbliżej obozu i jak najgęściej. Słowem zdawało mi się, że zrobiłem wszystko, co można było zrobić.

Koło północy wicher się wzmógł, a deszcz zmienił się w formalną ulewę. Coraz niespokojniejszy z powodu wzmagających się ciemności, wziąłem kilku ułanów i objechałem wszystkie widety. Przybywszy do owych dwóch żołnierzy pod figurą, zastałem ich dziwnie zaniepokojonych. Mówili mi, że wprawdzie dotąd nic nie spostrzegli, że dokoła panuje zupełna cisza, tylko wicher wyje i deszcz leje, ale mimo to konie ich, stworzenia zwykle bardzo karne i ciche, są nadzwyczaj niespokojne, kręcą się, grzebią kopytami ziemię, strzygą uszami, chrapią, a są nawet chwile, że rwą się do ucieczki, tak, że trzeba całej siły munsztuków, by je utrzymać na miejscu. Jeden z żołnierzy, chłopak młody, wykształcony, znany z szalonej odwagi i brawury, dodał dziwnie zmienionym głosem:

— Panie poruczniku, konie się czegoś boją. Mój formalnie drży i poci się ze strachu. Tu się dziać będzie coś nadzwyczajnego.

Zdziwiło mię to wszystko, ale widząc, że ich konie i moje są w tej chwili zupełnie spokojne, ofuknąłem żołnierzy groźnie i poleciłem jeszcze raz baczność.

— Cóż to, strachów się boicie? Na nieprzyjaciela macie karabinki i szable, na konie ostrogi. Za godzinę was zluzuję.

I odjechałem, ale z niewytłumaczonym niepokojem w duszy. Przez cały czas mego objazdu placówek i powrotu do obozu, rysował mi się w umyśle cichy, stary dworek, ocieniony lipami, i odwieczną, na pół uschniętą, pokrzywioną okropnie wierzbą, umajony bluszczem i dzikim winem, a w tym domku ona... ona...

Zaledwie wróciłem do obozu i owinąwszy się w płaszcz, rzuciłem na wiązkę słomy w namiocie, by choć na chwilę odpocząć, gdy nagle rozległ się gwałtowny tentent koni. Wyraźnie słyszałem, jak biegły po drodze, prowadzącej pod ową białą figurę; jak woda w kałużach, z właściwym sobie pluskiem, rozstępywała się pod uderzeniami kopyt.

Zerwałem się na równe nogi i wybiegłem przed namiot. Dwóch jeźdźców z ogromnem wysileniem osadzało konie, wołając donośnie:

— Gdzie porucznik?

— Co się stało? — zawołałem, biegnąc ku nim, gdyż byli to dwaj żołnierze z widety pod figurą.

— Alboż my wiemy, co się stało? Nie możemy koni utrzymać.

— Milionset tysięcy dyabłów! — krzyknąłem w gniewie. — Z koni! oddać broń! aresztuję was. Jutro pod sąd wojenny! Hej! wachmistrz, trzech ludzi na koń. Mnie konia!

— Panie poruczniku, rób z nami, co chcesz, ale myśmy niewinni! — odrzeknie jeden z tych, co uciekli z widety, i dodał: — A przytem muszę panu zaraportować, że w kieruku tym — i wskazał ręką — słychać gęste strzały.

Jak gdyby mi rozkroił serce na dwoje. W kierunku tym był stary dworek i ona w nim... Jak szalony dosiadłem konia i z kilku ludźmi ruszyłem naprzód. Piesze czaty były mocno zaniepokojone nagłym odwrotem kawalerzystów. Żołnierzy, którzy stali na drodze i w pobliżu, pytałem się, czy czego nie widzieli. Utrzymywali, że nic, ale, że noc jest jakaś straszna, dziwna i że im się ckliwo koło serca robi.

Nie uważałem na to, tylko ruszyłem pod figurę, zajęty w tej chwili jedynie moim obowiązkiem zabezpieczenia obozu.

Na miejscu, gdzie stali dwaj zbiegli żołnierze, ziemia była zryta, dowodząc, jak gwałtowną stoczyli oni walkę z nieposłusznemi końmi. Zresztą było spokojnie. Deszcz lał jak z cebra, figura bielała posępnie na czarnem tle nocy, wicher wył i przynosił wyraźny odgłos gęstego ognia karabinowego. W głębi firmamentu, na skraju jego, czarne chmury zarumienione były purpurą krwawą. Widocznie się gdzieś paliło, wrzała jakaś rozpaczliwa walka. I nie mogło to być gdzieindziej, tylko we wsi ukochanej...

Bóg jeden wie, co się w mej duszy działo Postanowiłem zostawić dwóch żołnierzy na widecie, sam wrócić do obozu, złożyć raport rotmistrzowi i prosić o cały pluton, bym mógł z nim ruszyć na rekonesans. Powziąwszy to postanowienie, już wydawałem odpowiednie rozkazy, gdy nagle konie nasze poczęły strzydz uszami, rwać się gwałtownie i w końcu poniosły nas, jak szalone, w kierunku obozu. Niewiele myśląc i nie tracąc wcale przytomności, widzę, że konia w żaden sposób nie utrzymam, wypuściłem więc nogi ze strzemion i umyślnie spadłem na ziemię.

Przetłuczony nieco, obryzgany błotem, zerwałem się zaraz na równe nogi. Byłem sam jeden na drodze. W oddali słyszałem gwałtowny tętent uciekających koni, szamotanie się z nimi jeźdźców, ich przekleństwa, aż i to ucichło.



BIAŁA DAMA.

Zostałem sam, powtarzam, wśród posępnej, burzliwej nocy, ze strasznem przeczuciem w duszy i z okiem zwróconem na ów krwawy rąbek chmur w oddali. Wyjąłem rewolwer z za pasa, dobyłem szabli i ruszyłem naprzód ku figurze, postanawiając do niej dotrzeć i tam czekać pomocy, która, nie wątpiłem, że lada chwila nadbiegnie z obozu.

Przyznaję, że z pewnym zabobonnym strachem zbliżałem się do owej białej, samotnej figury. Obejrzałem ją starannie dokoła. Był to zwyczajny słup murowany z cegieł, z wgłębieniem od szczytu, w którem znajdował się posążek już nie wiem jakiego świętego.

Opatrzywszy to wszystko, zwróciłem me oczy na drogę. Drżałem cały. Płaszcz mi przemókł do nitki i było mi zimno. Szalony ból ściskał mi serce, a ów ogień, który tam w głębi ciemności nocnych czerwienił chmury, zdawało mi się, że pali moje wnętrzności.

Wtem na drodze coś ukazało się białego, coś, czego do dziś dnia określić nie mogę, coś mającego formy i rozpływającego się w cieniach nocy, coś tak przezroczystego, że dostrzegłem przez nie owe krwawe chmury, a jednak widzialnego. Włosy mi powstały na głowie. Widmo to zbliżyło się ku mnie i o zgrozo! — to była ona. Tak, to była ona. Jej główkę otaczała jakaś mglista aureola, oblewająca dziwnem, księżycowem światłem całą postać. Widziałem ją doskonale, jej jasne, złote włosy, jej twarz anielską, śmiertelnie w tej chwili bladą... jej oczy przymknięte z wyrazem bolesnego cierpienia. Uczułem straszne ściśnienie serca, zamroczyło mi się w oczach i padłem bez czucia.

Obudziłem się w namiocie. Przez szczeliny zaglądało jasne słońce i kładło się długą plamą na mojej broni. Przetarłem oczy i począłem sobie przypominać wypadki dnia poprzedzającego, gdy nagle usłyszałem raport porucznika Z., wygłaszany stentorowym głosem!

— Wieś X. spalona, dwór zruinowany, właściciele zabici, córka ich, panna Zofia, zamordowana i haniebnie zbeszczeszona. Naszych padło szesnastu. Nieprzyjaciel swoich zabitych zabrał.

Mój Boże, więc to było jej widmo!.. Więc to ona szła błagać mię o pomoc, o uratowanie swej czci niewieściej, lub jej pomszczenie, a ja tego nie uczyniłem!

Och, nocy owa, straszna nocy!.. kiedyż cię zapomnę.

Waligóra.

Wiedza i wychowanie.

Do najczęstszych nadużyć w wychowaniu małych dzieci, należy brak umiarkowania w pieszczotach. Miłość rodzicielska jak każda prawdziwa miłość, pragnie uszczęśliwienia ukochanej osoby. Radość dziecka, jest radością matki, a każde jego cierpienie jest wielekroć większem cierpieniem dla niej. Stąd powstaje dążenie do zaspakajania każdego żądania dziecka i do zgotowania mu wszelakiej przyjemności. Zapomina się o tem, że żądania dziecka bywają nieraz niedorzeczne a przyjemności szkodliwe. Poskramiać więc należy ową słabość dla dziecka, przez wzgląd na jego dobro. Nie mniej szkodliwem jest, chociaż rzadziej się zdarza, szorstkie obchodzenie się z dziećmi. Zbytnie pieszczoty pobudzają egoizm i zarozumiałość u dziecka, a szorstkość wyrabia obok tchórzliwości, podstępność i kłamstwo. Takiż wpływ wywiera straszenie.

Dążność do wczesnego uczenia dzieci, bardzo szkodliwy wywiera wpływ na ich rozwój umysłowy. Rodzice nieraz chełpią się przedwczesnym rozumem swych dzieci, nie bacząc na to, że w większości owe cudowne dzieci w wieku dojrzałym stają się upośledzonemi na umyśle. Część ich podlega chorobom nerwowym — a nieraz stają się ofiarą wybujałej czynności umysłowej. Z doświadczenia też powstało przysłowie, że mądre dzieci dochować trudno.

* * *

Od szóstego mniej więcej roku zaczyna się wychowanie dziecka na szerszą skalę. Odpowiednio do trzech sfer życia duchowego wychowanie wymaga równomiernego rozwoju każdego z nich. Jest ono tedy rozwijającem władze umysłowe: rozum i rozsądek rozwijającem charakter czyli skłonności obyczajowe. Obok powyższych staje wychowanie gimnastyczne, ćwiczące zmysły i siłę mięśni, jednocześnie przygotowujące do sprawności i zdatności zawodowej energię mięśniową, w celach produkcyi dla utrzymania bytu.

Celem wychowania, rozwijającego władze umysłowe, jest z jednej strony nabycie zapasu wiedzy, to jest systematyczne uporządkowanie wyobrażeń, ściśle określonych pojęć, i poznanych faktów w przestrzeni i czasie; zdrugiej strony, wyrobienie zdolności porównywania, rozróżniania, sądu, oraz badania istniejącej zależności i poznania prawdy. Dla pierwszego celu, wychowanie posługuje się pamięcią, dla drugiego rozmowaniem.

* * *



Patrol arabski w Egipcie.

Wychowanie moralne ma na celu kształcenie uczuć ludzkich, zamiłowania piękna i dobra, dążenie do ideałów, podnoszących ducha i uprzyjemniających życie. Są one wyczynkiem po pracy umysłowej, urozmaiceniem życia duchowego. Powagę i zimną pracę rozsądku rozgrzewają wesołością, radością usposabiają do dobrych uczynków i do uniesień szlachetnych. Materyał do tego wychowania dają sztuki piękne: literatura, poezya, retoryka, dramaturgia, malarstwo, rzeźba, architektura i muzyka. Już w młodocianym wieku otoczenie powinno wpływać na rozwijanie uczuć. Czyste, ozdobione mieszkanie, kwiaty na oknach, kształtne zabawki, piękne obrazki, muzyka, śpiew, tanie a ładne ubranie itd., wyrabiają upodobanie w pięknem i dobry gust. — Wczesne uczenie rysunku, kaligrafii i grania na instrumentach są środkiem początkowego wychowania estetycznego i obok nauczania powinny i mogą być stosowną korzyścią. Mało jest rodziców, którzyby rozumieli pożytek wychowania estetycznego. Lekceważą je, tłomacząc się, że nie mają zamiaru dzieci na artystów kształcić i że one, zwłaszcza chłopcy, mają co pilniejszego do roboty. Częściej już dziewcząt strona estetyczna wychowania bywa uwzględnianą; nieraz stanowi ona główne zadanie ich wychowania z ujmą dla rozwoju umysłowego. — Przez próżność, lub dla mody, dziewczęta przez znaczną część dnia siedzą przy fortepianie, ćwiczą się mechanicznie w muzyce, bez zrozumienia jej, z zaniedbaniem potrzebnego ruchu i ze szkodą dla zdrowia.

Najdzielniejszym środkiem wychowania estetycznego jest czytanie wszystkich utworów natchnienia poetycznego, połączone z deklamacyą. Wdzięk i harmonia języka, piękność obrazów, wzniosłość uczuć, a często głębokość myśli powinny być wskazane uczniom, by je rozeznawali, Równie dzielnie wpływa czytanie dzieł wielkich mówców.

Czytanie powieści jest także kształcące, ale wymaga bardzo starannego wyboru. Nauka śpiewu jest jednym z najlepszych środków wychowania, rozwija bardzo uczucie, połączona jest z przyjemnością i usposabia do harmonijnej zgody. Nauka tańca ma poniekąd wpływ na kształcenie umysłowe przez nadanie ruchom całego ciała wdzięku i przyjętego w towarzystwie układu. Te formy na pozór błahe, nadają towarzystwu pewną pożądaną przyzwoitość i chronią od rabuszności. Zachodzące przytem spotykania obu płci, mają również wpływ etyczny. Taniec, jako jedyna (nieraz u dziewcząt) gimnastyka wpływa bardzo zbawiennie na wykształcenie mięśniowe i ożywienie krążenia krwi.

Celem wychowania jest wyrobienie charakteru, umiarkowanie popędów samolubnych, utrwalenie zasad moralnych, mających kierować wszelkimi postępkami, wreszcie ułożenie obyczajów wedle formy przyjętej w przyzwoitem społeczeństwie.

Najskuteczniejszym sposobem propagandy jest: słowo. Prosimy Czytelników i przyjaciół naszego pisma o poparcie Tygodnika naszego w gronach znajomych i przyjaciół, w stowarzyszeniach i ogniskach życia towarzyskiego i kulturalnego. Niechaj nie braknie naszego pisma w żadnej rodzinie polskiej.

Dola robotników w Brazylii.

W połowie zeszłego roku Centralne Biuro Wywiadowcze w Berlinie ostrzegało robotników przed wyjazdem do Brazylii. Powodem tego były ogłoszenia umieszczane w pismach hamburskich, poszukujące robotników do budowy nowej kolei firmy „Marmore“, w dorzeczu rzeki Amazonki, w środkowej Brazylii. Ogłoszenia umieszczano w pismach niemieckich po polsku, widocznie dla zwabienia Polaków. Treść ogłoszeń była niezbyt zręczna, bo pisano: „Szukam Robotników do Budowi kolei i t. d.

Pomimo ostrzeżeń prasy polskiej, wyjechało jednak z Niemiec kilkuset robotników, a pomiędzy nimi podobno aż 500 Polaków.

Głównym agentem był inżynier kolejowy, niejaki p. Jurgens z Hamburga, który obiecywał robotnikom po 15 marek dziennego zarobku. Gdy robotnicy przybyli do Brazylii i zgłosili się do firmy „Marmore“, powołując się na umowę, zawartą z inżynierem Jurgensem, oświadczono im, że umowa, zawarta z Jurgensem w Europie, jest nieważną, bo p. J już przestał być agentem. Zamiast 15 marek obiecano im 10. Jest to, jak na tamtejsze stosunki, zapłata bardzo marna, bo za skromne utrzymanie trzeba płacić 5 mk. dziennie, a przytem w owych okolicach panuje klimat zabójczy.

Stosunki w Brazylii opisuje nam jeden z robotników, który zdołał stamtąd powrócić, w sposób następujący:

„Przybywszy do Brazylii, musieliśmy odbyć jeszcze 12-dniową podróż po rzece Maderze, na małym parowcu w wielkim tłoku. Gdyśmy wreszcie po wielu utrudnieniach na miejsce pracy przybyli, oczom naszym przedstawił się okropny widok. Oto w szpitalu dogorywało około 50 zmizerowanych, jak szkielety biedaków. Jak opowiadali chorzy, w przeciągu coś czterech tygodni zmarło około 100 robotników przybyłych z Niemiec. Usłyszawszy to, nie chcieliśmy się imać pracy. Zaczęto nas więc namawiać i obiecywać. Z 300-tu przybyłych około 60 podjęło pracę, reszta zażądała ażeby ich odwieźć z powrotem. Wielu z tych, którzy zgodzili się pracować, zmarło na malaryę, inni legli w szpitalu. Opornych nie chciano zwolnić.

W toku szamotania się opornych, zjawił się od razu p. Jurgens, z gromadą żołnierzy policyjnych i kazał wszystkim opornym odebrać broń. Od razu zaczęto obiecywać lepszy zarobek, nie chciano jednak dać umowy na piśmie. Gdy się układy rozbiły, groził dyrektor, że wypędzi wszystkich do lasów, gdzie wszystkich czeka śmierć głodowa. Trzeba zaznaczyć, że dyrektor rozporządzał 60 karabinami, a robotnikom odebrano broń Pod wpływem gróźb zdecydowało się 150 robotników przystąpić do pracy. Opornych, w liczbie około 70, zapędzono w lasy. Zbudowali oni sobie jednak tratwy i popłynęli z prądem wody. Wiele tratew, licho skleconych, rozleciało się i znajdujący się w nich potonęli. Jedną tratwę z 7 robotnikami pochwycili dzicy Indyanie i wymordowali robotników. Innych, szczęśliwych roz-

bitków tej wyprawy, ugościli farmerzy i wysłali do Manaos, skąd swobodniej mogli wyruszyć w dalszą podróż.

Robotnicy, którzy pracę podjęli, zachorowali niebawem; inni domagali się już po 14 dniach, ażeby ich odesłano z powrotem. Pieniędzy im wszakże nie dano, bo odliczono poważne kwoty za „uzbrojenie“. (Każdy robotnik musi mieć własne narzędzia do bracy i broń do obrony przed dzikiemi zwierzętami i Indyanami). Gdy się ostatecznie zgodzono na odesłanie ich z powrotem, to z tej partyi zmarło jeszcze w drodze do Manaos 4, a 25-ciu ciężko zachorowało. W Manaos zmarło 9-ciu.

Po wielu trudach i z pomocą konsula niemieckiego w Rio de Janeiro, opuściło niewdzięczną Brazylię w dniu 18 listopada r. 1909 na statku „Rio Negro“ 44 robotników. Z tych zmarło w podróży jeszcze trzech. Z 38 pozostałych, którzy w grudniu przybyli do Hamburga, 15-tu musiano umieścić w lecznicy.

Tyle nasz korespondent.

Jak się okazuje, śród owych nieszczęśliwych było wielu Polaków i to z pewnością takich, którzy wcale gazet nie czytają, a jeżeli czytają, to na ich przestrogi nie zważają.

O stosunkach, panujących w Brazylii, zaświadcza dobitnie jeden z czytelników „Dziennika Kujawskiego“ wychodzącego w Inowrocławiu. Oto co napisał ręką drżącą na kartce otwartej: „Niech nikt nie przyjeżdża, umieram! — Lewandowski“.

„Wiarus Polski“, wychodzący w Bochum w Westfalii, donosi, że policya hamburska dowiedziała się, jakoby firma budowy kolei „Marmore“ w Brazylii zamierzała sprowadzić z Niemiec jeszcze 5000 robotników. Wobec tego wydała policya ostrzeżenie, ażeby nikt nie wyjeżdżał.

Baczność więc przed emigracyą do Brazylii!

Walka z pijaństwem w Anglii.

Wszystkie społeczeństwa, roszczące sobie pretensyę do cywilizacyi, dbające o istotny dobrobyt wszystkich warstw swych współobywateli i świadome nierozdzielnego związku dobrobytu z moralnością, starają się ograniczyć konsumcyę gorących trunków i walczą niestrudzenie z pijaństwem. W tej walce z alkoholizmem i jego rozszerzaniem się nie wstrzymuje rządów i parlamentów obawa o zmniejszenie się dochodów skarbu państwowego przez zmniejszenie się podatków konsumcyjnych i wyszynkowych, wiedzą bowiem, że strata ta powetuje się wnet podwyższeniem ogólnego dobrobytu, polepszeniem zdrowotnych stosunków ogółu, zmniejszeniem liczby nędzarzy, obniżeniem ilości chorób umysłowych i występków, spotęgowaniem energii pracy i wytwórczości społeczeństwa.

Ruch antialkoholiczny wogóle jest dość młody, udział w nim państw, niebardzo dawny, a o ile nam się zdaje, obok Szwecyi, Norwegii, Szwajcaryi, pierwsza działa w tym kierunku ustawodawczo Anglia.

Co prawda, rząd angielski zawsze w każdej sprawie działać się stara bez ścieśniania swobód obywatelskich i wystrzegając się centralizacyi, zostawia społeczeństwu inicyatywę wszelkich reform, bierze zaś akcyę we własne ręce i udziela jej sankcyi państwowej dopiero w ostatniej instancyi, gdy go wszechmocny prąd opinii publicznej do tego powoła.

Tak też było i w sprawie walki z alkoholizmem. Potężne organizacye towarzystw wstrzemięźliwości, popierane zawsze przez duchowieństwo wszystkich wyznań, wiodły od lat wielu czynną agitacyę przeciw nałogowemu pijaństwu, a także i przeciw umiarkowanemu używaniu gorących trunków; dotychczas jednak nie mogły się pochlubić walnemi zwycięstwami. W rzędzie ich przeciwników stały nietylko surowy klimat, zadawnione zwyczaje mas ludowych i ich brutalność, ale co najważniejsze — organizacye piwowarów i gorzelników, reprezentujące wysoko rozwiniętą gałąź przemysłu krajowego. Organizacye te dążą naturalnie nie do zmniejszenia, ale do zwiększenia konsumcyi gorących trunków.

Główną przeszkodą w urzeczywistnieniu reform ustawodawczych, zmierzających do ograniczenia alkoholizmu, był i jest sojusz zawarty pomiędzy producentami i sprzedawcami piwa i gorzałki, a jedną z dwóch partyi politycznych, które od wieków powoływane bywają kolejno do kierownictwa spraw państwowych Wielkobrytańskiego imperyum. Stronnictwo torysowskie wzięło pod swe skrzydła opiekuńcze producentów alkoholu i pośredników w sprzedaży i nietylko zwalcza stale wszystkie prawodawcze środki, proponowane przez whigów, ale obejmując rządy, udziela producentom wódki i piwa, oraz szynkarzom i restauratorom coraz to nowych przywilejów. W ten sposób za rządów torysowskich unieważniono uchwalone za liberalnego gabinetu bile, za rządów zaś gabinetu Balfoura w 1904 r. szynkarze otrzymali nawet gwarancyę nietykalności swych patentów.

W takich warunkach the trade (pod tą skróconą nazwą znany jest w Anglii handel napitkami alkoholicznemi) rozwijał się i rozpanoszał coraz bardziej. Opiera on się o olbrzymie fundusze, obliczane na mniej więcej pół miliarda funtów szterlingów i kilkakroć stotysięcy ludzi znajduje zarobek i utrzymanie w browarach i gorzelniach. Przeszło sto tysięcy szynków w Anglii i Walii istnieje w zależności od wielkich producentów. Z procederu tego powstały największe fortuny, a w Izbie lordów zasiada już takie mnóstwo „magnatów“ dzięki posiadaniu gorzelni i browarów, że antialkoholicy ukuli dowcip, iż peerage (godność para) znaczy tyleż, co beerage (piwowarstwo. Wynikiem takiego wzmożenia się ilości szynków jest to, że naród wydaje ogromne sumy na piwo i wódkę z niepowetowaną szkodą dla moralnego, fizycznego i ekonomicznego dobra. W 1907 r. wedle wykazów statystycznych przepito kwotę 167,016,200 funtów szter.

Wtedy społeczeństwo stanęło wobec następnego dylematu: albo państwo przełamie i opanuje wszechwładną organizacyę producentów alkoholu i szynkarzy, albo też zostanie przez nią do szczętu opanowone i zrujnowane. Kiedy w 1906 roku objęło rządy stronnictwo whigów, gabinet przyrzekł wyborcom reformę ustawy o wyszynku napojów alkoholicznych. Dwie pierwsze sesye parlamentarne zajęte były innemi sprawami; trzecia w roku 1908 zajęła się i sprawą szynkarską. Oczekiwano wniosków rządowych z wielką ciekawością.

Gdy w d. 27 lutego 1908 Asquit wniósł do Izby gmin swój Licensing Bill, projekt znalazł nietylko sympatyczne, ale wprost entuzyastyczne przyjęcie w stronnictwie whigów, podczas gdy torysi napiętnowali zamiary rządu, jako „rabunek“ i „wywłaszczenie“. Właściwie całą treść projektu stanowi zmniejszenie ilości szynków: ustawa pewnej liczbie szynkowni istniejących odbiera patenty (license) na których mocy szynkują alkohol, przyczem państwo zastrzega sobie monopol udzielania nowych patentów, którego to monopolu wyrzekło się za rządów torysowskich.

Na uskutecznienie tej reformy bez szkody dla własności prywatnej ustanowiono czternastoletni okres przejściowy; przez tych lat 14 rząd zamyka trzecią część istniejących szynków, czyli 32,000, przyczem każdy szynkarz otrzymuje odszkodowanie w gotówce za poniesione straty. Na indemnizacyę przeznaczono 100 milionów funtów szter., wobec czego upada zarzut „rabunku“ i „konfiskaty“.

Nowy bil zwrócił się nietylko przeciwko szynkom, ale i przeciw klubom i lokalom różnych stowarzyszeń, w których sprzedawano gorące trunki. Nowa ustawa poddaje te lokale surowej kontroli ze strony władz.

W przeprowadzaniu ustawy udzieliły wielkiej pomocy rządowi wszystkie organizacye wyznaniowe, katolickich nie wyłączając. Kościół anglikański, będący we wszystkich innych sprawach sprzymierzeńcem torysów, w tej stanął wyraźnie i stanowczo po stronie whigów. A jednak, mimo, że Izba gmin nową ustawę uchwaliła, niemało trudności czeka jeszcze rząd, który bil przeprowadzić teraz musi w Izbie lordów. Wiadomo zaś, że z powodu nowego bilu finansowego, wprowadzającego podatki dla warstw najbogatszych najuciążliwsze, Izba lordów rozpoczęła żarliwą kampanię przeciw gabinetowi Asquitha. Od wyniku tej kampanii zależy i los bilu o szynkowaniach: jeśli gabinet upadnie, to rządy obejmie gabinet torysowski, a ten z pewnością nie będzie się spieszył z przedstawianiem Izbie lordów ustawy tak jej niesympatycznej, a tem samem wprowadzenie jej w życie uniemożliwi; jeśli zaś w obecnej kampanii zwycięży gabinet Asquitha i dla finansowego bilu znajdzie większość wśród panów Królestwa, to wnet ta sama większość zatwierdzi mu uchwalony już przez Izbę gmin bil o zamknięciu 32,000 szynkowni.

Niema najmniejszej wątpliwości, że zamknięcie 32000 szynków — chociaż w przeciągu lat 14 — w znacznej mierze przyczyni się do zmniejszenia pijaństwa i konsumcyi alkoholu. Niemniej przyczynią się do tego inne ustępy nowej ustawy, np. ograniczające ilość godzin, podczas których szynki otwarte być mogą w niedziele i święta, zakazujące sprzedawania alkoholu dzieciom i małoletnim, przyznające gminom miejskim i wiejskim prawo do protestowania przeciwko otwieraniu nowych szynkowni i uznające protesty tego rodzaju za zawieszające otwarcie, aż do decyzyi władzy wyższej. Bądź co bądź gabinet Asquitha położył wielką zasługę wprowadzeniem palącej sprawy alkoholizmu na porządek dzienny, z którego bardzo trudno będzie ją usunąć.

Nieco o derwiszach.

Wyraz perski *derwisz*, oznacza właściwie próg u drzwi, a w znaczeniu przenośnem — żebraka. Muzułmanie jednak nazwą tą nazywają ascetę, szukającego zbawienia duszy w życiu, pędzonem zdala od świata. Wkrótce po śmierci Mahometa, który orzekł, że w islamizmie niema być zakonów,

zaczynają mimo to powstawać liczne bractwa z charakterem czysto zakonnym, których członkowie otrzymali miano derwiszów. Pierwszym ich założycielem był; według podania, sam zięć proroka, kalif Ali, czy też Abu-Bekr. Później bractwa owe zorganizowały się w stałe zakony i nieustannie wzrastając liczebnie, obecnie sięgają liczby 70-ciu, z której blisko połowa istwieje w państwie Tureckiem, a reszta w Persyi, Azyi środkowej, Arabii i Afryce północnej. Nie mają one nic wspólnego z duchowieństwem muzułmańskiem, które wogóle jest względem nich wrogo usposobione.

Za najstarszy zakon derwiszów są uważani Olwanowie, założeni przez Olwana, szeika, zmarłego w Dżyddzie w r. 766; następnie do głośniejszych należą: Kadyrowie, Nurbaszowie, Rufajowie itp. Jeden z tych zakonów, a mianowicie Begtaszowie, miał ogromny wpływ wśród janczarów tureckich; gdy ci ostatni przestali istnieć w roku 1826, sułtan Machmud II zniósł i ten zakon, jako niebezpieczny ze względów politycznych.

Wogóle zakony derwiszów, z których jedni są żonaci a drudzy pędzą życie bezżenne, oprócz spełniania obrządków religijnych, polegających głównie na modlitwie i specyalnym tańcu, mają różne zajęcia czysto świeckie, naprzykład trudnią się urzędowaniem, rzemiosłami, rybołówstwem itp. Jedynym żebrzącym zakonem byli wyżej wspomniani Begtasowie. Niektórzy zaś, jak np. Rufajowie, słyną ze swych sztuk kuglarskich, któremi zarabiają na życie. Odzież noszą rozmaitą, stosownie do zakonu, atoli przeważnie ubierają się w długie suknie koloru czarnego, lub ciemno-zielonego, zaś przełożeni (szeikowie), wogóle mają szaty białe albo zielone; na głowie noszą zawoje rozmaitej formy. Najcharakterystyczniejszym ich obrządkiem religijnym jest t. zw. *taniec derwiszów*, polegający na szalonych, najrozmaitszych ruchach, wykonywanych z olbrzymim wysiłkiem fizycznym i połączonych z dzikiemi okrzykami; niekiedy podczas takiego tańca powtarzającego się zwykle co tydzień, zadają sobie rany nożami, lub, jak się to dzieje u niektórych zakonów, istniejących w Egipcie, po skończeniu takiej praktyki religijnej, padają na ziemię, by po nich przejechał konno ich przełożony.

Derwisze cieszą się ogromnym wpływem i znaczeniem wśród ogółu muzułmanów, wskutek czego nieraz wodzowie wojsk w czasie wojny otaczali się nimi, ażeby utrzymać ducha i wiarę w zwycięstwo wśród żołnierzy. Obecnie największą powagą na Wschodzie cieszy się zakon Mewlewi, którego największy klasztor, o 500 celach, znajduje się w Koni, rezydencyi jeneralnego szeika zakonu. Temu dostojnikowi przysługuje przywilej ważny i zaszczytny — przypasywanie szabli nowemu sułtanowi przy obejmowaniu przez tegoż władzy.

HUMORYSTYKA.

W szkole.

Katecheta: Jak się nazywały te dwa miasta, które Pan Bóg ogniem i mieczem ukarał za grzechy?

Uczeń: Stodoła i komora.

Stefek: Nasza babcia, to już nic nie utrzyma za zębami. Przyznałem się jej do winy w sekrecie, a ona wszystko wyśpiewała ojcu i... skóra była w robocie.

Antoś: Dobrze ci tak, boś przecież o tem wiedział, że ona już zębów niema.

Skąpy wdowiec szukał towarzyszki życia, ale żadna nie miała ochoty wyjść za niego. Po długich dopiero zachodach zdecydowała się pewna stara dziewczyna poślubić tego skąpca. Znalazła się jednak przeszkoda. Ludziska bowiem przedstawiali staremu kutwie, że dziewucha ta to straszny żarłok. Długo się więc namyślał, co zrobić, ale w końcu się ożenił.

Po pewnym czasie pyta go znajomy: A jakże to u was, Wojciechu, z babą?

— E chwalić Boga, dobrze — odpowiada — skąpiec. Ludziska ganili a ganili; człowiek się mocno martwił, a nie miał czego. Oto babie wnet zęby wyleciały tak że teraz ziemniaczka przełknąć nie może, a pracuje od świtu do nocy i zamiast ubytku mam tylko dobytek.

Skrzynka Redakcyi.

— **WP. H. Oleś.** Dziekujemy; zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Polecamy się nadal pamięci.

— **WP. Drosomir.** Wiersz Pański przeczytaliśmy w skupieniu ducha i to z pewnym trudem. Myśl przewodnia wierszyka — nienajgorsza, ale forma i język i ortografia — okropne! Radzimy Panu zatem zasiąść przedewszystkiem do gramatyki języka polskiego; my tymczasem wierszyk zachowamy... w koszu redakcyjnym.

NR 10

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Przyszedłem nie ze słowem pociechy, nie z posłannictwem cudu, ale z gromem Bożym, który w pokorze przyjąć trzeba.

— Ale jakżeś się wybawił z rąk nieprzyjaciela? jak tu się dostałeś? — spytał Pułaski — Wiedzieliśmy że was osadzono na pokucie w Horodyszczach, pod czujną strażą...

— Nie pytaj — sam nie wiem jakem wyszedł, ani jakem się tu dostał. Wiodła mnie tu siła, co może wszystko, dla której trudnem nic nie jest.

— A nie jestem już czem byłem... ani prorokiem, ani błogosławionym od Pana, w którego On ręce dawał cuda na chwałę swoją. Wziąłem grzechy wasze na barki moje i zgniotły mnie... i w proch obróciły...

— Dni przebyłem straszne... noce przebolałem w mękach niewysłowionych, bo dał mi Pan widzieć przyszłość a nie dozwolił dla niej wybłagać litości.

To rzekł i głowę spuścił na piersi a płakał... Pułaski zakrył oczy, bo i z nich dobywały się łzy.

— Jednej nocy — mówił starzec natchniony podnosząc czoło — porwany byłem od ducha abym tu szedł z rozkazem do was. Nie wiem już sam jak szedłem i czy ciało moje jest ze mną lub w niewoli pozostało. Ale oto mnie widzisz przed sobą posłańca tych wyroków co się nie zmienią.

— Nie wolno nam płakać i narzekać nie wolno, i burzyć się nie wolno, a cierpieć tylko wolno i nakazano...

— Cierpienie to przychodzić będzie wszystko, czegokolwiek kiedy doznał naród nieszczęśliwy i upadły, co oczy ludzkie widziały a język wypowiedział, tak że ulitują się nas ci, co jako żydowie w rozproszeniu byli, w niewoli, zabijani jako psy, i pohańbieni jak najostatniejsi zbrodniarze.

— Nie wychodzi się i nie wymodli żaden stan od pokuty Bożej, ani żaden wiek, ani żadne kapłaństwo, ani świętość żadna; będą tryumfować najbezecniejsi, znęcać się nad nami najpodlejsi, deptać bydlęta, wyśmiewać narody — a nie znajdziemy litości nigdzie, u ojców własnych, u braci, u matek, u ziemi.

— Ojcze! — zakrzyknął Pułaski łamiąc ręce — dla czegóż naród nasz ma być rozpięty na krzyżu tym... czy tak wielkie są grzechy jego?

— Nie pytaj Boga dla czego czyni, bo bluźnić będziesz, zuchwały człowiecze — odparł starzec — któż kiedy zbadał drogi Boże? Wieszże ty na co krew i łzy są potrzebne? i co z nich uczyni ten co cuda czyni?

Przyszedłem z tem do ciebie abym ci zwiastował męczeństwo, wygnanie, tułactwo i boleść i śmierć...

— A nietylko tobie, ale najwybrańszym z narodu... a kto ocalony będzie, zwalany zostanie i pohańbiony szczęściem, bo będzie pił z czaszki zabitej matki, jadł wnętrzności ojca... i obluzgan będzie plwocinami wrogów, co mu uścisk na szyję z pętlicą założą...

— Słuchaj, człowiecze — a nie buntuj się duchem... Rozkazano ci przezemnie złożyć oręż i iść na wygnanie, nie godzi się, aby, gdy wyrok padł Boży, człek przeciw niemu walczył, święte miejsce oddając na zniszczenie.

— Na Jasnej Górze długie jeszcze pokolenia włosiennicą i żałobą i popiołem okryte modlić się będą i darmo — błagać litości...

— Na Jasnej Górze przyjdzie zwycięzki poganin odzierać szaty z obrazu i ważyć je i spisywać.

— Na Jasnej Górze... uklękną wnuki prawnuków waszych dopiero... wyzwolonemi i gdy proch z naszych kości wiatry rozwieją...

— Przystało aby to miejsce nietkniętem zostało dla przyszłości. —

— A więc weźmiesz w pokorze brzemię twe i pójdziesz z niem w świat... Bóg ci da życie czyste, i niepokalane i zgon — męczennika...

To mówiąc, porwał go starzec za głowę schyloną i całując płakał rzewnie nad nim, a Pułaski ściskał mu kolana.

— Przyszły, przyszły dni nadziei i miłosierdzia — mówił starzec — próbował Bóg narodu, pozwolił mu krzyż swój wdziać na pierś i iść walczyć za sprawę dobrą.. ale krzyż nawet piersi w których szatani mieszkali nie poświęcił i z tłumu krzyżowców zrodziła się zgraja rozbójników, szajki intrygantów... wyrośli przedajne Judasze i zdrajcy.. Poszło w rozsypkę na pośmiewisko wojsko Boże i Maryi.

— Ojca twojego skazali na śmierć więzienną u niewiernych... a było to szczęściem dlań, bo oczy jego nie widziały końca... Inni poszli służyć djabłu i po kawałku sprzedawać ojczyznę... a włożyli na się psie skóry...

— Ujrzał Bóg iż nie byliśmy warci życia i odjął je nam na długo, aż się go dopracujemy nędzą potępieńców na ziemi.

— Poszarpią ten kraj niedowiarki, ateusze, mędrkowie i nierządnice na kawały i rozniosą „jako psi flaki“ a syny i córki popędzą na cztery świata strony dźwigać kamienie na gmachy ich tryumfów i służyć im u łożnic do wszeteczeństw...

— Będzie upadek tak wielki, iż bydlęta panować nam będą, co oblicza ludzkiego nie mają, i rozum nasz, co nam cnoty nie dawał, będzie zmuszony służyć głupocie ich i szałom zwierzęcym tłuszczy...

— Przejdzie lat sto i nie będzie dniom pokuty końca... bo nie będzie poprawy... bo buntować się będą ręce a nie poprawiać serca, bo nie będzie pokory ani upamiętania.

— O ojcze mój — przerwał znowu Pułaski — nie odsłaniaj mi tej straszliwej przyszłości — wszakżeś nam lepszą zwiastował i obiecywał prędko...

— Prędko? a wiesz ty co u Boga prędko? — zapytał starzec — a wiesz ty że grzechy wasze uczyniły mnie z proroka kłamcą. Z wami razem upokorzył mnie Bóg, ukazał mi to, co się stać mogło, aleśmy warci nie byli.

— Na tronie pobożnych królów i bohaterów siedzi oto ostatni pomazaniec — na szyderstwo dany, który płakać umie i śmiać się jak mu każą, a ofiarnikiem być nie zdoła.

— Straszny będzie koniec niezbożnego, co w cudzołostwie się wychował, a obrzydliwością karmił, bo mu na łbie pokruszą koronę Chrobrową i w szmacie królewskiej poprowadzą na wygnanie... Ecce Rex! (Oto król) aby pod zmarzłem niebem umierał, pod którem grzeszył...

Skruszony będzie tron i ołtarz i stolica i świątynie, a poczną rzezać ręce bezbożne tych, co Bogu nie byli posłuszni... i popalą księgi wasze i przeszłość spotwarzą i odbiorą wam — nawet cnoty dziadowskie..

— Pocznie się z was rozproszenie straszne i tułactwo wiekowe... Będzie brać w roku i dniu Bóg na ofiarę co najlepszego w narodzie, pierwociny jego, a rozsypie jak proch i śmiecie po wszystkich ziemiach świata. Imię Polaka stanie się nazwiskiem włóczęgi i żebraka... a uciekać będą od was wszyscy, jak od trędowatych i zapowietrzonych...

— A ile razy bohaterstwem zuchwałem porwiecie się odzyskać swobodę, tylekroć Bóg was rozmiecie, rozbije i rozproszy... na nowe tułactwo... z każdego plemienia weźmie tułactwo ofiary.

Starzec mówił i łzy strumieniami dwoma płynęły mu po twarzy z oczów rozognionych, a dźwięk głosu jego był przerażający i surowy. Bolał, ale potęga wielka zmuszała go wieszczyć te przyszłości męczarnie, które on wszystkie w sercu za naród duchem przecierpiał.

Pułaski słuchał znękany.

— Słuchaj! słuchaj mnie — mówił starzec — tobie jednemu będzie odkryta przyszłość, boś ty jeden wiernym dotrwał do końca... a nie będziesz przeto pocieszon, bo nie doczekasz i nie ujrzysz zmiłowania, ani ty ani czworo pokoleń, dzieci tych, co żyją dzisiaj.

— Ale wiedz, Kazimierzu, iż Bóg jest sprawiedliwym, a weźmie zemstę za wszystkie zbrodnie tych ludzi, co w męczeństwie naszem siepaczami zostaną.

Zginie Polska i imie jej i królestwo i stolice i będą rzezie i kajdany i niewola, a w kraju, co wszystko święcił dla wolności, nie pozostanie jej cienia, ani prawa, ani litości, ani uczucia ludzkiego.

— Nabuchodonozora tryumfy słodyczą się wydadzą przy tych, na któreśmy skazani, za winy nasze.

— Będą nas rzezać tłuszcze, wieszać Tatarowie i urągać niewiastom naszym nieczyste stworzenia w gnojowiskach wylęgłe.

— Nie poszanują dzieci, kapłanów, ołtarzy, Boga...

— A świat cały patrzeć będzie na to męczeństwo nasze śmiejąc się, ucztując, nierozumiejąc, niewierząc lub potykając, i nie obudzi się litość dla nas, bo powiedzą — Bóg karze.

— A gdy pokolenia wysyłać będą rozproszone dzieci w świat, pierwsze z nich przyjmą litością i miłosierdziem, a drugie oklaskiem i sławą, trzecie jałmużną i hałasem, czwarte urągowiskiem, niewolą, popychaniem — tak że nie będzie dlań kąta na ziemi.

— Narody swobodę kochające odrzucą was, i te, za które będziecie krew przelewać zaprą się was, nikt z wami chleba nie rozłamie, dadzą wam umrzeć z głodu u progów i kamieniami rzucą jak na psy wściekłe.

— Nic to jeszcze! to obcy! ale gdy do ojca, co zostanie na ziemi utrapienia ozwie się z wygnania syn — to się go zaprze ojciec własny. — Nie znam cię, nie, odpowie mu matka, a żona jego poślubiona będzie wrogowi, dzieci wezmą broń moskiewską, aby strzelały do ojców i będzie kraj przeklinał niedolę swą w nich... a tułacze szaleć będą i niejeden z nich rzecze — gdzie jest Bóg?

Przyjdą chwile, gdy na grobie Polski zapomni świat o Bogu i sprawiedliwości — i powie, pokoju potrzebuję, aby mi mój handel szedł, za nic mi cnota i prawo, bylem miał co jeść i pić i spał na złocie.

— Podadzą wszyscy dłonie oprawcom waszym, zrzeką się was i powiedzą — niechaj naród ten ginie, albowiem żyć nie umiał.

— A to dopiero będzie ostatnia męczeństwa godzina, nietylko naszego, ale męczeństwa sprawiedliwości Bożej i buntu przeciwko duchowi świętemu. Gdy ludzie powiedzą, nie ma Boga, jedno siła i pieniądz naówczas.

— A! Ojcze! Ojcze! litości — przerwał Pułaski — dusza moja nie może podźwignąć tego brzemienia, umieram na duchu... miej miłosierdzie, niech nie cierpię za pokolenia... zostaw mi życie.

— Nie umrzesz — przecierpisz, a proroctwo moje pójdzie po nad tobą, jako mgła i rozwieje się... powiesz sobie, iż jako się jasne wieszczby nie sprawdziły... bośmy ich nie byli warci, tak się czarne nie ziszczą dla miłosierdzia Bożego... Ale potrzeba było, abyś cierpiał tę chwilę, bo wybranym jesteś, a wybranym u nas cierpieć dano. Szczęśliwi zostaną odrzuceni, bo dla tego szczęścia będą się musieli zaprzeć Boga, ojczyzny, wiary i narodu.

—Widzę ich, widzę całe pokolenia tych ludzi spodlonych co zgiąwszy się na ramionach nosić będą złocone jarzmo, rozkryte mi są ich sumienia pełne ran i zgryzot i śmiać się będą ich usta, nasycać kadłuby, świecić piersi, a boleć i jęczeć wnętrzności serdeczne aż do zgonu. Albowiem nikt, kogo Bóg stworzył białym nie może wdziać skóry czarnej, a kto wdzieje ją, umrze, bo go ona spali.

— Kazimierzu! — dodał — tobie przeznaczone wygnanie... i Bóg pobłogosławi ci w niem, abyś na wielkie imię zapracował, a da ci bohaterski koniec...

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Postanowił więc narazić się na przygodę sam i bez zasięgania jakichkolwiek wyjaśnień. Plan jego zresztą bardzo był prosty. Listy przybite na każdych drzwiach, służyć mu miały za pierwszą wskazówkę, wybadywania zaś odźwiernych dopomódz do wyjaśnienia całej tajemnicy. Tytuł sekretarza sekcyi przy ulicy Lepelletier zupełne nadawał mu prawo do tego rodzaju badań.

Wreszcie Maurycy nie wiedział imienia swej nieznajomej, ale kierować się miał podobieństwem, przypuszczał bowiem, że tak czarująca istota musi nosić imię zgodne z jej kształtem: imię jakiej sylfidy, wieszczki lub anioła. Sądził, że przybycie tej kobiety na ziemię, musiano uczcić podobnie, jak przybycie jakiej istoty wyższej, nadprzyrodzonej.

Imię miało mu służyć za nieomylnego przewodnika.

Maurycy przywdział kurtę z grubego ciemnego sukna, ustroił się w czerwoną odświętną czapkę i nikomu nic nie mówiąc rozpoczął swą wycieczkę.

W ręku trzymał grubą sękatą pałkę, zwaną podówczas konstytucyą, która w kościstej i silnej jego dłoni, nabierała wartości herkulesowej maczugi. W kieszeni miał nominacyę na sekretarza sekcyi Lepelletier. A tak zabezpieczył się pod względem fizycznym i moralnym.

Znowu więc przebiegał ulicę św. Wiktora, teraz św. Jakóba, czytając przy świetle zapadającego dnia wszelkie nazwiska wypisane więcej lub mniej wprawną ręką na drzwiach każdego domu.

Był już przy setnym domu, a tem samem setną już odczytywał listę, a jednak nic go jeszcze nie przeświadczało, że trafił na ślad swej nieznajomej, którą miał nadzieję poznać pod warunkiem, że wyczyta imię w rodzaju tych o jakich marzył.

Wtem dzielny jakiś szewc, widząc niecierpliwość malującą się na twarzy czytającego, otworzył drzwi swoje, wyszedł z pocięglem i szydłem w ręku, i patrząc przez okulary na Maurycego zapytał:

— Obywatelu, czy potrzebujesz jakich wiadomości o lokatorach tego domu? mów, gotów ci jestem odpowiedzieć.

— Dziękuję obywatelu — wyjąkał Maurycy — alem szukał nazwiska mego przyjaciela.

— Powiedz mi to nazwisko, obywatelu, znam wszystkich w tym cyrkule; gdzież mieszka ten przyjaciel?

— Mieszka, jak sądzę przy starej ulicy Jakóba, ale może się już wyprowadził.

— Ale jakże się nazywał? przecież muszę wiedzieć jego nazwisko.

Maurycy zdziwiony wahał się przez chwilę, a potem wymawiając pierwsze lepsze nazwisko jakie mu przyszło na pamięć.

— René — rzekł.

— A jego stan?

Wkoło Maurycego znajdowały się same garbarnie.

— Czeladnik garbarski — odpowiedział.

— W takim razie potrzeba udać się do majstra — odezwał się mieszczanin, który przechodząc tamtędy, zatrzymał się i na pozór dobrodusznie lecz niedowierzająco wpatrywał się w Maurycego.

— Prawda — rzekł odźwierny — wielka prawda, majstrowie znają po imieniu wszystkich swych rzemieślników, a to właśnie jest obywatel Dixmer, dyrektor garbarni, w której pracuje przeszło pięćdziesięciu ludzi; on ci może udzielić potrzebnych wiadomości.

Maurycy obejrzał się i spostrzegł poczciwego mieszczanina, słusznego, z przyzwoitą twarzą, w ubiorze zapowiadającym zamożnego fabrykanta.

— Tylko, jak powiedział obywatel odźwierny — mówił dalej mieszczanin — trzeba wiedzieć nazwisko tego przyjaciela.

— Powiedziałem, że się nazywa René.

— René, to tylko imię chrzestne, a ja pytam o nazwisko rodzinne. U mnie każdy robotnik zapisany jest pod rodzinnem nazwiskiem.

— Na honor — powiedział Maurycy nieco zniecierpliwiony tym rodzajem wypytywania się — ja nie wiem jakie jest jego nazwisko rodzinne.

— Jakto! — rzekł mieszczanin z uśmiechem w którym Maurycy dostrzegł większą niż ten chciał pokazać ironią — jak to obywatelu! nie znasz nazwiska twego przyjaciela.

— Nie.

— W takim razie nie znajdziesz go zapewne.

I mieszczanin grzecznie się Maurycemu ukłoniwszy, postąpił o kilka kroków i wszedł do jednego z domów przy starej ulicy Jakóba.

— Koniec końcem, jeżeli nie wiesz jego nazwiska rodzinnego... — powiedział odźwierny.

— No i cóż stąd! że nie wiem — odparł Maurycy szukając umyślnie sposobności do kłótni, aby mógł na kogo spędzić swój zły humor.

— Nic, obywatelu nic, tylko jeżeli nie wiesz nazwiska twego przyjaciela, być może, jak mówi obywatel Dixmer, że go wcale nie znajdziesz.

To powiedziawszy obywatel odźwierny wszedł do swej budki wzruszając ramionami.

Maurycy miał wielką ochotę wykropić obywatela odźwiernego, lecz był to starzec, niedołęstwo więc uratowało go. Gdyby odźwierny był o dwadzieścia lat młodszy, Maurycy byłby z nim przedstawił gorszące widowisko równości wobec prawa, lecz nierówności wobec siły.

A przytem noc już zapadała.

Maurycy korzystając z reszty dziennego światła, zapuścił się w najbliższą uliczkę, później przebiegł drugą; przypatrywał się każdym drzwiom, przeglądał każdy zakątek, patrzał przez każdą palisadę, wspinał się na każdy mur, rzucił okiem po za każdą kratę, przez każdy zamek, kołatał do każdego składu nieotrzymując żadnej odpowiedzi, nakoniec stracił parę godzin na tem bezużytecznem poszukiwaniu.

Wybiła dziewiąta godzina.

Ściemniło się zupełnie, nie słyszano już najmniejszego szelestu, nie spotrzegano najmniejszego ruchu w tym pustym cyrkule, skąd życie zdawało wraz z dniem uchodzić.

Maurycy miał już z rozpaczy zawrócić, w tem niespodzianie na zakręcie wązkiej uliczki, dostrzegł blask światełka.

Natychmiast więc puścił się w to ciemne przejście, nie spostrzegając, że w tej samej chwili, jakaś ciekawa głowa, która od kwadransu już z poza drzew wznoszących się nad murem, wszelkie jego kroki śledziła, nagle poza tym murem zniknęła.

W kilka sekund po jej zniknięciu, trzech ludzi wyszło przez małe drzwiczki wybite w tym murze, i znikło w uliczce na którą udał się Maurycy, a tymczasem czwarty, dla większej ostrożności, zamykał owe drzwiczki.

Maurycy przy końcu uliczki znalazł dziedziniec, owe światełko błyszczało po drugiej jego stronie.

Zakołatał do drzwi nędznego i samotnego domku, lecz natychmiast światełko zagasło.

Maurycy znowu kołatał, lecz nikt mu nie odpowiedział, przekonał się więc, że się uwzięto na milczenie, a nie chcąc tracić czasu na daremnem kołataniu, przebył dziedziniec i znowu wrócił na uliczkę.

Jednocześnie drzwi domu zwolna zaskrzypiały na swych zawiasach, wyszło z niego trzech ludzi i dało się słyszeć gwizdnięcie.

Maurycy obejrzał się i w odległości dwa razy takiej, jak długość kija jego, dostrzegł trzy cienie.

W ciemności migały się trzy płowe sztylety.

Maurycy poznał, że jest otoczony.

Chciał zrobić młynka swym kijem, ale uliczka tak była wązka, że kij dotknął obu murów.

W tej chwili ogłuszyło go gwałtowne uderzenie w głowę.

Tę nieprzewidzianą zaczepkę dokonali czterej ludzie, wyszli przez małe drzwiczki w murze. Siedmiu więc razem wpadło na Maurycego i mimo rozpaczliwego oporu, obaliło go na ziemię, skrępowało mu ręce i zawiązało oczy.

Maurycy nie krzyczał, nie wzywał ratunku.

Tak to siła i odwaga zawsze same sobie wystarczyć pragną i zdają się wstydzić obcej pomocy.

Zresztą nadaremnie byłby wołał o pomoc, bo w tak pustym cyrkule niktby mu jej nie był przyniósł.

Maurycy więc, jak powiedzieliśmy, został związany i skrępowany, nie wydawszy najmniejszej skargi.

Sądził zresztą, że jeżeli zawiązano mu oczy, to zapewne nie dlatego, aby go zabić niezwłocznie. W wieku Maurycego każda zwłoka stanowi nadzieję.

Zebrał więc całą przytomność umysłu i czeka

— Kto jesteś? — spytał głos ożywiony świeżą walką.

— Jestem człowiek, którego mordują — odrzekł Maurycy.

— Co większa, będziesz człowiekiem zamordowanym, jeżeli będziesz mówił głośno, jeżeli tylko krzykniesz.

— Gdybym chciał krzyczeć, nie byłbym czekał do tej pory.

— Czyś gotów odpowiadać na moje pytania?

— Pytaj, a zobaczę czy mam ci odpowiadać.

— Kto cię tu przysyła?

— Nikt.

— Przychodzisz tu więc z własnego natchnienia?

— Tak jest.

— Kłamiesz.

Maurycy okropnie się szarpnął, chcąc rozwiązać swe ręce; lecz było to niepodobieństwem.

— Ja nigdy nie kłamię — odpowiedział.

— W każdym razie, czy przychodzisz z własnego natchnienia, czy cię tu kto przysyła, zawsze jesteś szpiegiem.

— A wy, nikczemnikami! podłymi!

— My, podłymi!

— Tak jest, siedmiu was czy ośmiu przeciw skrępowanemu człowiekowi i jeszcze go znieważacie: Podli! podli! podli!

Ta gwałtowność Maurycego, zamiast drażnić jego przeciwników, zdawała się ich raczej uspakajać, dowodziła bowiem, że młodzieniec ów nie był tem, o co go obwiniono; prawdziwy szpieg byłby drżał i błagał łaski.

— Niema tu żadnej zniewagi — odezwał się głos łagodniejszy; ale zarazem bardziej nakazujący jak te, które pierwej mówiły. W obecnym czasie można być szpiegiem, ale przytem uczciwym człowiekiem. Ryzykuje się tylko życie.

— Bądź mi pozdrowiony, ty coś tak przemówił, odpowiem ci godnie.

— Cóż więc masz do czynienia w tutejszym cyrkule.

— Szukam tu kobiety.

To tłómaczenie się przyjęto szmerem niedowierzania, które wnet wzrastając przemieniło się w burzę.

— Kłamiesz — zaczął znowu ten sam głos. — Niema tu żadnej kobiety, a wiemy bardzo dobrze kogo przez ten wyraz rozumieć. Niema tu, powtarzam, kobiety, którąby ścigać wypadało; wyznaj twój zamiar lub umrzesz.

— No, no — powiedział Maurycy. — Przecież mię nie zabijecie dla rozrywki, chyba jeżeli jesteście prawdziwi rozbójnicy.

I znowu szarpnął się jeszcze gwałtowniej i bardziej niespodzianie jak wprzódy, chcąc uwolnić swe ręce od krępującego je sznurka. Ale nagle bolesne i ostre zimno pierś mu rozdarło.

Maurycy mimowolnie w tył cię cofnął.

— Ah! czujesz co to jest — rzekł jeden z otaczających go. — Wiedz zatem, że jest tu ośm podobnych do tej, z którą dopiero zabrałeś znajomość.

— No, dobijajcie mię — z rezygnacyą rzekł Maurycy. — Raz się przynajmniej wszystko skończy.

— Mów kto jesteś? — odezwał się głos łagodny i rozkazujący.

— Czy chcecie wiedzieć moje nazwisko?

— Tak jest.

— Jestem Maurycy Lindey.

— Co! — zawołał jeden głos — Maurycy Lidney, rewolucyonista.. patryota! Maurycy Lindey sekretarz sekcyi Lepelletier!

Te słowa wymówiono z takim zapałem, że Maurycy przekonał się, iż były stanowcze. Odpowiadać więc na nie było to tak czy owak niezmiennie wyrzec o swym losie.

Maurycy niezdolny był do podłości. Wyprężył się więc jak prawdziwy Spartanin i rzekł pewnym głosem:

— Tak jest, Maurycy Lindey, sekretarz sekcyi Lepelletier; Maurycy Lindey patryota, rewolucyonista, Jakobin, nakoniec Maurycy Lindey, który do najpiękniejszych dni życia swego policzy dzień w którym umrze za sprawę kraju.

Tę odpowiedź przyjęto śmiertelnem milczeniem.

Maurycy Lindey nadstawił pierś, sądząc, że za chwilę sztylet, którego ostrze uczuł niedawno, zanurzy się cały w jego sercu.

— Czy to tylko prawda? — rzekł nieco później głos widocznie zdradzający wzruszenie. — No młodzieńcze, przestań kłamać.

— Zajrzyjcie do mojej kieszeni — powiedział Maurycy. — Patrzcie na pierś moją, a znajdziecie na koszuli litery M. i L. jeżeli ich krew nie zatarła.

Natychmiast Maurycy poczuł, że silne ramię podnosi go z ziemi.

Nie daleko go zaniesiono.

Wkrótce usłyszał jak się otworzyły jedne i drugie drzwi, drugie jednak węższe były jak pierwsze, bo zaledwie pomieścić w sobie mogły niosących go ludzi.

Szmer i szeptania trwały ciągle.

— Jestem zgubiony — pomyślał Maurycy — przywiążą mi zapewne kamień do szyi i wrzucą w jaką dziurę do Biewry.

Ale po chwili uczuł, że niosący go wstępują na jakieś schody.

Delikatniejsze powietrze go owionęło, posadzono go na krześle.

Usłyszał, że zamykano drzwi na dwa spusty i oddalono się. Zdało mu się, że go zostawiono samego. Słuchał więc z uwagą, na jaką tylko zdobyć się może człowiek, którego życie od jednego słowa zawisło, i zdało mu się, że słyszy jak głos ten sam, który go już uderzył swą pewnością i słodyczą, mówił do drugich:

— Naradźmy się.

VIII.

Genowefa.

Upłynął kwadrans, co zdało się wiekiem Maurycemu. Nic naturalniejszego: młody, przystojny, silny, wspierany w swej sile seciną przyjaciół, gotowych zginąć dla niego, z którymi i przez których marzył, że kiedykolwiek dopnie wzniosłych czynów, nagle i bez przygotowania ujrzał się wystawionym na utratę życia w niegodnej zasadzce.

Pojmował, że go zamknięto w jakimś pokoju, lecz mianoż go na oku?

Znowu próbował rozerwać swe więzy. Jego żelazne muszkuły wzdęły się, wyprężyły, sznur wpił mu się w ciało, ale nie pękł.

Najokropniejszą było rzeczą, że mu ręce w tył związano i że nie mógł zdjąć zasłony: gdyby widział, może mógłby uciekać.

Tymczasem nikt nie sprzeciwiał się tym jego usiłowaniom, nikt się w około niego nie ruszył, sądził więc, że jest sam.

Nogami dotykał czegoś miękkiego i głuchego, sądził, że to piasek lub glina. Przykra i przejmująca woń przekonywała o obecności jakichś roślin. Maurycy mniemał, że się znajduje w cieplarni lub w podobnem miejscu. Postąpił kilka kroków, dotknął muru, odwrócił się chcąc namacać rękami, uczuł, że to są narzędzia rolnicze i wydał okrzyk radości.

Wtedy dopiero, po niesłychanych wysileniach zbadał wszystkie te narzędzia jedne po drugich. Ucieczka jego stawała się kwestyą czasu: jeżeli traf lub opatrzność dozwoli mu pięciu minut czasu, jeżeli pomiędzy tymi narzędziami znajdzie coś ostrego, będzie ocalony.

Znalazł rydel.

Że zaś był związany, musiał więc odbyć pewien rodzaj walki nim rydel ten zdołał obrócić żelazem do góry. Oparłszy to żelazo o mur za pomocą pleców, przerznął a raczej przetarł sznur który mu krępował ręce. Trwało to długo, bo żelazo rydla było tępe. Pot spływał mu po czole. Uczynił więc ostatnie wysilenie gwałtowne, niesłychane, najpotężniejsze, i sznur w połowie przetarty pękł nakoniec.

Znowu zatem krzyknął z radości, bo przynajmniej był pewny, że bronić się będzie nim umrze.

Zerwał z oczu zasłonę. Nie mylił się, znajdował się nie w cieplarni, ale w pawilonie, gdzie przechowywano niektóre tłuste rośliny, nie mogące na świeżem powietrzu przepędzać złej pory roku. W jednym kącie stały narzędzia ogrodnicze, z których jedno tak wielką wyświadczyło mu przysługę. Na wprost niego było okno: Maurycy poskoczył ku niemu i przekonał się, że zakratowane; człowiek uzbrojony w karabin stał za niem na straży.

Po drugiej stronie ogrodu, o trzydzieści może kroków odległości, wznosił się mały kiosk, odpowiadający temu, w którym się znajdował Maurycy. Żaluzye jego były spuszczone, lecz z po za nich wyglądało światełko.

Maurycy zbliżył się do drzwi i słuchał, druga placówka przechadzała się za drzwiami.

Ale w głębi korytarza odzywały się pomięszane głosy; narada widocznie zamieniła się w sprzeczkę. Maurycy nie mógł więc rozumieć dobrze wszystkiego co mówiono. Jednakże schwytał kilka słów, dla których jakby naumyślnie przedział między nim a jego prześladowcami zdawał się być mniejszy, słowa te były: szpieg, puginał, śmierć.

Maurycy podwoił uwagę.

Otworzono jedne drzwi; słyszał więc wyraźniej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Chociaż wycieczka była bardzo blizka, nigdy nie miał zręczności ani czasu jej przedsiębrać.

Właśnie się też zbierało w Niemczech na tę olbrzymią manifestacyę narodową, która się zwała „uroczystością śpiewaków“ (Sängerfest).

Baron Beust, rywalizujący niedołężnie z wykluwającym się z pod dragońskiego munduru Bismarckiem, brał pod swe skrzydła to narodowe objawienie jedności w duchu i pieśni. Saksonia tryumfowała wyprzedzając Prusy na drodze idealnego zjednoczenia wielkich Niemiec. Cóż znaczył związek kieszeni, który się zwał Zollvereinem, wobec tego olbrzymiego chóru patryotycznego, uczczonego przez dwadzieścia tysięcy piersi ze wszystkich stron Niemiec zbiegających się, aby wznieść hymn przyszłości!

Nad brzegiem Elby budowano co najprędzej drewnianą halę, która dachem swym wędrowników pokryć miała.

Wojtuś nie gniewał się wcale za to, że jego podróż schodziła się właśnie z uroczystością śpiewaków, którą chciał widzieć i dla której miał sympatyą, bo mu się zdawało, że wielkie zjednoczenie musi być szlachetnem uczuciem natchnione, a na tej drodze i sprawiedliwość dla innych narodowości i uznanie ich znaleźć się musi.

Pomimo więc przepowiedni złych, że w Dreznie kąta nie znajdą nigdzie, że się w najgorszą wybierają porę itp., Wojtuś się uparł, pociągnął z sobą szwagra i pojechali.

Wprawdzie mieli dosyć trudności dostania izdebki na trzeciem piętrze z dwoma lichemi łóżkami w którymś z hotelów nowego miasta, lecz widok tej ćmy ludu rozochoconego, szczęśliwego, wynagrodził im niewygody doznane.

Niemiec przytomny podobnej manifestacyi polskiej nieochybnieby się na nią oburzał, wydziwiał i znalazł w niej dobrą pobudkę do wymyślania na tych nieznośnych szaleńców Polaków — poczciwy Wojciech przeciwnie przejęty był i z uszanowaniem patrzał na to święto pieśni, które wróżyło dzień czynów.

Razem ze szwagrem, który jako wieśniak a szlachcic wcale miał inne uczucia i ramionami ruszał na to, poszli nazajutrz przypatrywać się na Nowym rynku pochodowi chorągwi i stowarzyszeń śpiewaków, bractw, uniwersytetów i niezliczonych Vereinów, niosących swe godła w tryumfie i defilujących przed panem Beustem, siedzącym na koniu i w duszy urągającym się Prusakom.

Był to jego dzień tryumfu — jedyny w życiu — a krótko trwać mający.

Kto inny miał zbierać owoce tego zjednoczenia ducha i dłoni.

Wojtuś i pan Bondarzewski, szwagier jego, stanęli, z wielką trudnością znalazłszy miejsce na chodniku pod starą galeryą u wnijścia na ulicę Augustów — i stąd się przypatrywali marsowym postaciom burszów, chorągwiom i kutym w srebro rogom, które się wkrótce piwem z Waldschlösschen wypełniać miały.

Z początku tak byli zajęci tem widowiskiem, iż oczu od niego odwrócić nie mogli, wkrótce znużyło ich jednostajnością i nasz doktor począł się wpatrywać w otaczające go tłumy. Naprzeciw we drzwiach kamienicy pod numerem szóstym mignęło mu coś, co go tak zajęło, iż się spiął na palce.

— Przysiągłbym, że to Wolski stoi!

— Ale to on! to on! — począł garbus.

— Gdzie? jaki? — zapytał Bondarzewski.

— Ty go nie znasz, ale ja pochwycić go muszę, choćbym się miał przez te szeregi przebijać. Lękam się, aby mi nie uszedł — a chcę go widzieć koniecznie. Stój tu.

— A! dziękuję — przerwał szlachcic — ruszaj sobie do swego Wolskiego, a ja muszę gdzie pójść, żebym mógł siąść i odpocząć... Bywaj zdrów.

Niespokojny Wojtuś wybrał chwilę, gdy między pochodem dwóch Vereinów trochę było miejsca wolnego, i przerżnął się na drugą stronę ulicy.

Na rogu pod Berlińskim hotelem stanąwszy mógł się już doskonale przypatrzeć Wolskiemu i nie wątpił, że się nie mylił.

W istocie on to był jak dawniej wyglądający ubogo i biednie, smutno i przybito. Obok niego nieco ekscentrycznie ubrana, z lornetką w ręku stała kobieta piękna, wspaniałej i dumnej postaci, z rodzajem egzaltacyi przypatrująca się defilującym szeregom.

Wojtuś widział, jak rzuciła parę wiązanek kwiatów, jak klaskała w dłonie.

Poznał w niej acz nieco zmienioną i dojrzalszą Wilhelminę, zawsze piękną, majestatyczną, której świeżość i wesele dziwnie odbijało od smutku i przygnębienia Wolskiego. Maleńki chłopaczek kilkoletni z kodardą niemiecką na czapeczce stał między niemi.

Domyślił się w nim Fryca.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, doktor posunął się po nad trotoarem, zbliżył do dawnego towarzysza i chwycił go za rękę.

Wolski, którego oczy były gdzieindziej, drgnął, obejrzał się i zarumieniony, zmieszany począł się witać.

— A przecież cię złapałem! — zawołał doktor.

Wilhelmina odwróciła się ciekawie, a Wolski w kilku słowach przedstawił jej tego przyjaciela, o którym tylekroć wspominał.

Piękna pani zarumieniła się mocno, za rękę przyciągnęła ku sobie małego Fryca, który się ciekawie garbusowi przypatrywał, i nader zimno powitała przybyłego.

Widocznie zjawienie się jego nie było jej bardzo przyjemne.

Wojtuś był z tego rodzaju ludzi, co czasem właśnie, gdy się czują natrętnymi, na złość gotowi się narzucić.

Zdawało mu się, że ma do tego prawo.

— Przybyłem na krótko do Drezna — szepnął Wolskiemu na ucho — widzę, że tu mieszkacie, nie puszczę cię więc, póki mi nie powiesz swojego adresu i nie dasz godziny, o którejbym cię mógł zastać.

Wolski niespokojnie spojrzał ku żonie, zdawającej się odgadywać przedmiot rozmowy i ze znakami jakiemiś tajemnemi zwróconej ku mężowi.

— Wiesz — szepnął na ucho doktorowi — jeśli nie bardzo jesteś ciekawy reszty tej procesyi, ja tu żonę zostawię z profesorem, który ją może odprowadzić do domu, a sam zaraz ci służę.

Kilka słów szepnąwszy żonie, która zdala skłoniła głowę żegnając garbusa — Wolski wziął go pod rękę i poszli.

— Jednakże uprzedzić cię muszę — odezwał się po chwili przystając Wolski — że się do mnie nie łatwo będzie dostać. Mieszkamy na Frydrychstacie... dorożki dziś nikt nie dostanie... kawał drogi potężny...

Garbus się uśmiechnął.

— Wolę iść choćby na Frydrychstadt niż tu stać na skwarze.

— Prosiłbym cię na wieczor do nas — westchnął Wolski — ale przy naszem ubóstwie więcejby to żonę moją zmęczyło i upokarzało, niżby jej zrobiło przyjemności. My, po niemiecku nie przyjmujemy u siebie nikogo.

— Jak to? więc ci się nie polepszyło?

— Tem się pochwalić nie mogę. Szlezwig mnie dobił. — Spiknęli się na mnie koledzy Niemcy czystej krwi i dostałem suchą odprawę. Przenieśliśmy się do Drezna. Już to samo, że mieszkamy na Friedrychstacie, nauczyć cię powinno, jakie tu położenie nasze. Potrzebujemy z dziećmi najmniej trzech izdebek, przy tem kuchenki; trudno opłacić taki lokal w mieście. Nigdy mi może tak ciężko, tak bardzo ciężko nie było. W części taję to położenie przed moją drogą Helmą, ale sam za to podwójnie cierpieć muszę...

Szli powoli rozmawiając, droga była długa — wreszcie dobili się do mostu i w głównej ulicy pustej, wyludnionej, zamarłej, Wolski wskazał domek o trzech oknach frontu, na którego drugiem piętrze mieszkali.

Dość było spojrzeć na kamienicę, aby odgadnąć jej wnętrze. Była to bodaj budowa jeszcze z augustowych czasów, ze schódkami wązkiemi, z sienią ciemną, pełną mefitycznych wyziewów. Na dole mieszkał mydlarz, którego fabryka w dziedzińcu umieszczona nie dodawała woni — pierwsze piętro zajmował ubogi urzędnik, na drugiem byli Wolscy....

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Obowiązki młodych dziewcząt.

Wszyscy ludzie, zarówno mężczyźni jak kobiety, zarówno bogaci jak ubodzy, mają tylko jeden cel — pozyskanie szczęścia, jeden obowiązek — nie zaniedbanie niczego, co dla zdobycia szczęścia uczynić winni. Nie potrzeba dowodzić tej tezy — leży ona w pragnieniach każdej ludzkiej duszy. Któż jednak skłonniejszy jest do marzeń o szczęściu od młodzi, która wierzy, że dzień szczęścia zupełnego nadejść musi.

Dużo, dużo jest do roboty — i młode dziewczęta w dobrej chwili stają dziś na ojczystym zagonie. Najprzód dlatego, że dziś już są widoczne rezultaty siewców, którzy szli przed nimi i sprawili, że kobietom przyznawać zaczynają te prawa, z których nie korzystały dawniej. Przytem i życie staje się z każdą chwilą poważniejsze, brzemienne pełnią wielkich chwil, które wróżą przewroty i zmiany, a przesuwające się w ostatnich czasach przed nami wypadki otwierają oczy na głębię zagadnień i zmuszają mózgi do pracy nad ich rozwiązaniem. W młode umysły całą siłą uderza to przeświadczenie, że każda dusza ludzka ma równe prawa do życia i rozkwitu na ziemi, że nędza, brud, zimno i ciemnota — to wrogowie, z którymi walczyć trzeba o każdą ofiarę, że każda żyjąca istota powinna znaleźć pomoc społeczeństwa. „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“ — mówi poeta, a samo dobijanie się o pomyślność drugich już jest szczęściem. Chodzi tylko o to, by czasu nie tracić, a skończywszy to, co się nazywa edukacyą, a co jest tylko przygotowaniem do życia, obliczyć się ze swymi środkami i zdolnościami, zmierzyć siły na zamiary i wziąć się do pracy. A prowadzić ją podwójnie: nad udoskonalaniem własnej duszy i nad rozpalaniem ognisk dla ogółu. Gdziekolwiek młodej dziewczynie ze sfer inteligentnych żyć wypadnie, w mieście czy na wsi, w zamożnem środowisku, lub na stanowisku pracownicy zawodowej i nauczycielki, zawsze znajdzie pole działania. Nigdzie na świecie nie istnieje tak wielki przedział pomiędzy klasami, jak u nas — zapełnić go należy miłością. Trzeba rozumieć i odczuć ubóstwo, poznać robotnika w jego własnym domu, dać się pokochać, aby uzyskać wpływ. Wiele z młodych dziewcząt napotka na swej drodze człowieka, z którym pójdzie ręka w rękę do tych samych celów, wiele z nich dozna rozczarowań i zawodów. Dla wszystkich jednak nie zagaśnie nigdy promienna gwiazda pogody ducha i nadziei w lepsze jutro — o ile potrafią ukochać w życiu cel szlachetny i dążyć do niego, całą siłą gorącej duszy. Niechaj młode Polki będą tem tylko, co o nich Wincenty Pol napisał: „że one sercem pojmą, co myśl wieku dźwiga w głębi, co się w czasie zrywa, waży“.

Nie należy sądzić jednak, że ta praca dla ogółu, o której mówimy, ma odrywać kobietę od obowiązków najbliższych, tych, jakie jej stwarza przebywanie wśród najbliższej rodziny. Młoda dziewczyna powróciwszy do domu z zakładu wychowawczego, wnieść tam powinna ten pierwiastek wesołości, otuchy do wszystkiego co dobre, ten rozmach młodości, którego pęd jest niezmożony, o ile niesie z sobą twórczą, ożywczą siłę. Typ panien, rujnujących rodzinę żądaniami balów i strojów, zanika już na szczęście, wraz z postępem pojęć o godności człowieka. Wesołość, promienność, roztaczającą światło radości dokoła, trzeba wydobyć z własnej młodej duszy; nie dadzą jej sztuczne podniety zewnętrzne. Nie powinno jej stłumić nawet rozczarowanie, wypływające nieraz z konieczności zetknięcia się młodego życia, jego haseł pełnych złudzeń, z powszedniością codzienną, z chłodem i niedowierzaniem znużonego już nieraz i wyczerpanego otoczenia rodzinnego. Niech młodość będzie jak wiosna, która swym pędem kruszy lody i stojącą wodę w bystre potoki przemienia, ale niech zawsze gorąca miłość będzie tem słońcem, które chłód i martwotę w nowe zielone pędy zamienia.

(Dokończenie nastąpi).

Hodowla hiacyntów w słoikach.

Hiacynt jest tak mało wymagającym, że daje się nawet hodować w czystej wodzie bez ziarnka ziemi, z którejby czerpał pożywienie. Dzieje się to z tego powodu, że cebulka czy to hiacyntu, czy tulipanu, narcyza, tacetu i t. p., jest pod względem morfologicznym zupełnie skończoną rośliną. Posiada ona wszystkie organa żywotne, t. j. korzonki, łodyżkę, liście, a nawet i kwiat, tylko w stanie zmodyfikowanym, zredukowanym

niejako uśpionym. Cebulka posiada nawet w sobie do rozwinięcia tych organów potrzebne pokarmy, które w czasie swojej wegetacyi nagromadziła, a które potrzebują tylko sprzyjających warunków t. j. wilgoci i trochę ciepła, ażeby zostały do działania pobudzone i do rozwinięcia w stanie uśpionym znajdujących się korzeni, liści, łodyżek i kwiatów zużyte. Cebulka posiada tych pokarmów zupełnie dostateczną ilość, tak, że jest w stanie wykonać, bez żadnej z zewnątrz pomocy w postaci ziemi i nawozu, wszystkie swe czynności fizyologiczne, począwszy od wytworzenia korzonków, aż do uformowania kwiatu. Trzeba z naszej strony tylko dostarczyć warunków odpowiednich, ażeby czynności te wykonać mogła.

We wrześniu, październiku lub listopadzie, napełnia się specyalne na ten cel słoiki szklane czystą wodą, do której można dodać kilka kawałków węgla drzewnego, dla zapobieżenia prędkiemu psuciu się wody.

W zagłębieniu szyjki słoika ustawia się cebulkę o możliwie równej, gładkiej, dobrze wykształconej piętce korzeniowej, tak, żeby woda spodniej części cebulki dotykała. Następnie ustawia się słoiki te w ciemnem i chłodnem miejscu, np. w piwnicy, w szafie, w paczce zakrytej od światła itp., gdzie pozostają 5—6 tygodni, tj. tak długo, dopóki korzonki nie rozwiną się i nie dosięgną dna słoika, poczem przenosi się je do miejsca cieplejszego, zasłaniając wyrastającą łodyżkę kwiatową tutką z papieru. Woda w słoiku ulega zepsuciu, to też należy ją co pewien czas zmieniać i także w miarę wyparowania i zużycia przez korzenie, dolewać. Zwracamy uwagę, że nie należy dolewać wody zimnej, ale wystałej tj. takiej, którąby miała tę samą temperaturę, co woda w słoiku. Skoro łodyżka kwiatowa dorośnie 10 do 12 cm. wysokości, tutkę papierową się zdejmuje i stawia rośliny na światło, ile możności w cieplejszą niż przedtem temperaturę. Do hodowli w słoikach nadają się szczególniej niektóre odmiany, to też, zamawiając cebulki w zakładach ogrodniczych, należy wymienić, że się życzy tyle a tyle cebulek do pędzenia w wodzie. Wybiera się też na ten cel cebulki jak najdrobniejsze, silne i ciężkie. Słoiki, zwłaszcza w czasie kiedy ustawione są już na światło do słońca, można owinąć papierem, który zabezpiecza wodę od tworzenia się w niej wodorostów i chroni korzonki od przypalenia przez słońce.

Dom i kuchnia.

Szynka na gorąco.

Wziąć na dwoje osób pół funta w jednym kawałku, podlać rosołem lub wodą i mocno zagrzać; podać z kartoflami i groszkiem ziel. Groszku suszonego potrzeba ćwierć funta. Groszek należy przed ugotowantem namoczyć w zimnej wodzie, a gdy napęcznieje wrzucić go na wrzącą, lekko osoloną wodę, po ugotawaniu odcedzić i wymieszać ze świeżem masłem.

Kuropatwa

bardzo smacznie upieczona, gdy ją się obwinie całą cienkim płatkiem słoniny, dobrze nasoli i wstawiwszy do gorącego pieca, aby się prędko zarumieniła; piecze się dobre pół godziny, podlewając od czasu do czasu tłuszczem, który słonina puści. Gdyby tłuszczu było mało dodać trochę masła.

Marmoladę

z funta jabłek, należy gotować w ten sposób, aby jabłek nie obierać, tylko je opłukać, poprzekrawać, oczyścić z pestek, wlać małą szklaneczkę wody i łyżkę cukru, dobrze rozgotować i przetrzeć. Można też do gotowania dodać mały kawałeczek skórki cytrynowej i cynamonu lub wanilii.

Czyszczenie pierścionków.

Oczyszczenie pierścionków najlepiej i najdokładniej się dokonywa przez zanurzenie w amoniaku, w którym powinny leżeć cały dzień, a brud, mieszczący się w zagłębieniach, zniknie bez śladu. W ten sam sposób czyszczą się łańcuszki złote lub złocone. Pierścionki przechowywane w suchych trocinach zachowują blask i świeżość. Można też czyścić je gorącą wodą i miałką kredą, ale jest to więcej kłopotliwe, niż moczenie w amoniaku.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Barszcz z uszkami, pieczeń barania z marchewką, galareta pomarańczowa.

Poniedziałek. Czernina z kluseczkami, kaczka pieczona z kapustą, szarlotka z jabłek.

Wtorek. Rosół z makaronem, sztuka mięsa w chrzanowym sosie, omlet z konfiturą.

Środa. Zupa kartoflana z grzankami, makaron z pomidorowym sosem, legumina z kaszki (grysik) z sokiem.

Czwartek. Zupa cytrynowa, pieczeń huzarska z sałatą, kompot z jabłek.

Piątek. Żur, bitki ze śledzi z osmażanymi kartoflami, herbata z biszkoptami.

Sobota. Zupa rybna biała, pieczone liny z kartofelkami, legumina cytrynowa.

:: HUMORYSTYKA ::

Ojcowska rada.

Do poezyi zapał wielki
Czuła panna bladolica;
Raz o światłą tedy radę
Zapytała się rodzica:

— Ojcze drogi, wygłoś proszę,
Zdanie swoje jak najszczersze,
Co jest lepiej: pisać prozą,
Czy też tylko same wiersze?

Na to rodzic: — Ja ci powiem,
Droga córko, co jest lepsze:
Tuczyć gęsi, kaczki, kury,
A zaś jeszcze lepiej — wieprze...

Wet za wet.

Pan X., Będąc na śniadaniu ze znajomym uczonym i widząc, że ten przybiera po raz drugi ulubioną jego potrawę, rzecze:

— No, no, nie myślałem, żeby uczeni ludzie lubili smakołyki!

— A dlaczegóżby nie? Czyś pan sądził, że dobre rzeczy tylko dla głupców stworzone? — była odpowiedź uczonego.

Lżejszy gatunek.

Nauczyciel (podczas wykładu o tytuniu): Tak, nałóg ten ogromnie się rozpowszechnił; nawet kobiety, coraz więcej zaczynają palić papierosy, no, ale tylko emancypowane. Czy ty rozumiesz, co to znaczy „emancypowana"?

Uczeń (po namyśle): To jest lżejszy gatunek, panie profesorze!

Na lekcyi fizyki.

Nauczyciel: Jakie są własności ciepła?

Uczeń: Ciepło rozszerza ciała, a zimno je kurczy.

Nauczyciel: Daj przykład.

Uczeń: W lecie dnie są długie, a w zimie krótkie!

Otwarta.

— Panno Julio! Kocham panią; czy pozwoli pani pomówić mi ze swoją mamą?

— Ależ naturalnie, mama już od dwóch tygodni na to czeka!

Przy legitymacyi.

— Pańskie zajęcie?

— Obecnie zajmuję się... szukaniem bogatej żony.

Szewczyk (ujrzawszy na ulicy pijanego jegomościa, który oparty o latarnię, kręci bezustanku głową):

— A co pan tak stoi i głową kręci?

Pijany: Bo tak domy jadą jeden za drugim — to jak mój nadjedzie, to sobie wejdę...

Podejrzliwy wniosek.

A.: Jesteś jeszcze wciąż członkiem czynnym „Lutni"?

B.: (Będąc pod pantoflem): Przestałem nim być od czasu, jakem się ożenił.

A.: Aha! rozumiem, straciłeś zupełnie głos.

Dobrze obliczył.

— Po czemu te wiśnie?

— Po pół marki za funt...

— Co? czyście oszaleli?

— Nie mogę brać taniej. Mnie samego tyle kosztują...

— Czy być może?

— A tak, bo zapłaciłem dziesięć marek kary za to, że sprzedawałem je, kiedy jeszcze były niedojrzałe.

U doktora.

— Więc pan twierdzi, że zimne kąpiele mogą być skuteczne na moje cierpienia.

— O tak! zimne wcierania mogę gorąco polecić...

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.". Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.